



Poznaj Świat

7

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

2018

str. 46

TURCJA

PRZYMRUŻONE
OCZY STAMBUŁU



str. 18

GRUZJA

KARAIBY
NA KAUKAZIE

Kuba

WOLNOŚĆ PRZEZ SZYBKĄ SMARTFONA

str. 10

str. 56

GRECJA

LOT KU SŁOŃCU



SZKOCJA

STR. 94

MALEDIWY STR. 26

SZCZĘCIE POŚRODKU OCEANU

SENEGAL STR. 34

DZIECI ZEUSA

ETIOPIA STR. 78

BESTIA Z GÓR

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



9 177 0032 614 803 07

Pobierz aplikację
Publico24 Newsstand
i czytaj **Poznaj Świat**,
gdziekolwiek
masz ochotę



Znajdź nas w cyfrowym kiosku Publico24 Newsstand





GRUZJA str. 18



POLSKA str. 88



SENEGAL str. 34



TURCJA str. 46



KOLUMBIA str. 68

W NUMERZE

FOTOFORUM str. 4
Najlepsze zdjęcia
naszych Czytelników

KUBA str. 10
Wolność przez szybki
smartfona.
Magdalena Zelewska

GRUZJA str. 18
Batumi – Karaiby
na Kaukazie.
Stanisława
Budzisz-Cysewska

MALEDIWY str. 26
Szczęście pośrodku oceanu.
Dariusz Kowalczyk

SENEGAL str. 34
Talibés to chłopcy w wieku
od pięciu do piętnastu lat.
Jest ich tutaj, zebranych na
ulicach, ponad 50 tysięcy.
Marta Matosek

GEOSKOP str. 42

POZNAJ ZWYCZAJ str. 46
W Stambule wszyscy
kochają koty.
Agnieszka Bartusiak

PODRÓŻNOŚCI str. 54
Punkt siedzenia.
Felietaon Magdaleny
Żelazowskiej

GRECJA str. 56
Na Rodos słońce świeci
przynajmniej 300 dni
w roku.
Jerzy Machura

NAVIGATOR str. 64

KOLUMBIA str. 68
Tu uprawia się podobno
najlepszą kawę na świecie.
Elżbieta i Piotr Hajduk

MIKROWYPRAWY str. 76
Puszcza z leśniczym.
Felietaon Łukasza
Długowskiego

ETIOPIA str. 78
Dżelady to małpy żyjące
w wysokich partiach
gór Semien.
Radosław Kożuszek

POLSKA NIEZNANA str. 86
Nad Narwią.
Felietaon Mikołaja
Gospodarka

POLSKA str. 88
Festiwal Wisły przyciąga
rzesze fanów królowej
polskich rzek.
Jacek Kielpiński

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:
SZKOCJA str. 94
Zielono i dziko.
Aleksander Muszyński

**ŚLADAMI
PRZESZŁOŚCI** str. 104
Najcenniejszy skarb.
Felietaon Anny Szczęsnej

OUTDOOR str. 108

**POLSKA,
KTÓREJ NIE MA** str. 112



NA OKŁADCE:
trupa muzyczna
z Hawany



Mariola Johnson

HAWAJE

Erupcja jak ‘Ō‘ō!

Wulkan Kilauea na wyspie Hawajii należy do najaktywniejszych na świecie, a jego obecna erupcja trwa nieprzerwanie od 35 lat. Głównym jej miejscem był początkowo krater Pu‘u ‘Ō‘ō (na zdjęciu), który powstał na wschodnim stoku wulkanu, tam gdzie gorąca magma przebiła się przez skorupę ziemi i trysnęła w górę wysokimi fontannami lawy. Niezwykle widowiskowy wybuch, przypominający ptaka wzbijającego się do lotu, spowodował nadanie temu miejscu nazwy Wzgórze Ptaka ‘Ō‘ō.



reddot design award
winner 2018



www.deltaoptical.pl

NAJLEPSZA LORNETKA. KONIEC I KROPKA.

Titanium HD 8x42 to świetna lornetka, która otrzymała prestiżową nagrodę Red Dot. W tym liczącym się na świecie konkursie, międzynarodowe jury ocenia zarówno jakość produktu, jak i projekt.

Cieszymy się i jesteśmy dumni już po raz drugi

Seria lornetek Titanium HD składa się z modeli 8x42 i 10x42.

DELTA[®]
o p t i c a l



Monika Mizera

SESZELE

Raj dla wytrwałych

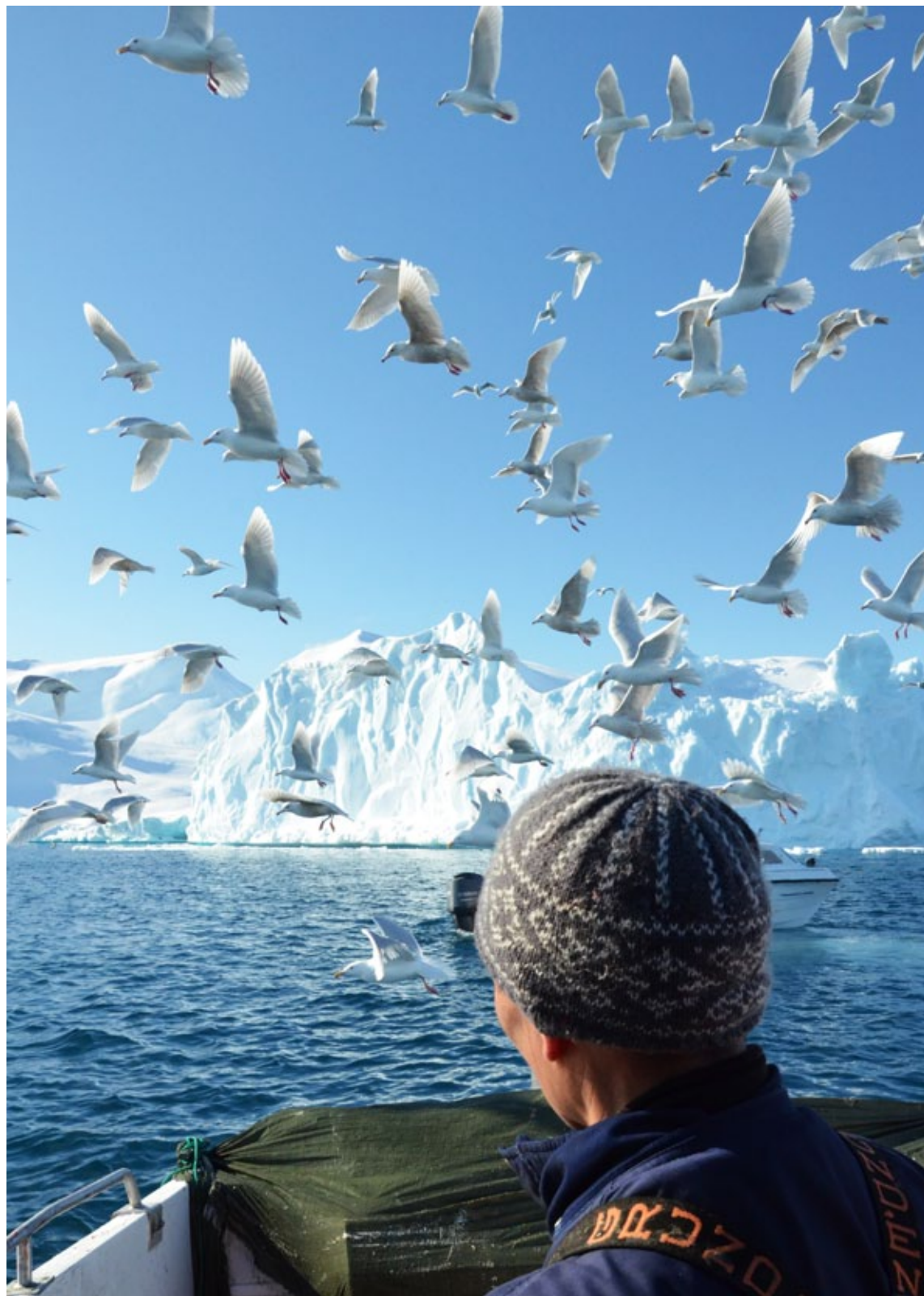
Na Seszelach jest 115 wysp, z czego większość niezamieszкана. La Digue jest najcichszą i prawdopodobnie najpiękniejszą. Zajmuje tylko 10 km² i liczy ok. 2 tys. mieszkańców. Wyspa jest tak mała, że większość z nich porusza się na rowerach lub bryczkach zaprzężonych w woły. Tu czas się zatrzymał i są kultywowane stare tradycje. Na wyspie miłośnicy morskich kąpielii poczują się jak w raju. Malownicze zatoczki, biały jak mąka piasek, krystalicznie czysta woda i porozrzucone gdzieś tam granitowe skały w najróżniejszych kształtach. Plaże są tutaj niezatłoczone i pozbawione jakiegokolwiek infrastruktury. Żeby trafić do niektórych ukrytych zakątków, trzeba wybrać się na trekking przez dżunglę lub wspiąć się po granitowych skałach. Ale widoki wynagradzają ten trud.



GRENLANDIA

Połów na polski stół

Ilulissat, położone na kole podbiegunowym, jest trzecim co do wielkości miastem Grenlandii. Mieszka tam 4555 osób, których głównym źródłem utrzymania jest rybołówstwo, a od kilku lat również turystyka. Fotografia przedstawia połów halibuta grenlandzkiego z małej łodzi motorowej. Mięso tej ryby jest bardzo cenione ze względu na walory smakowe – jest eksportowane również do Polski. Ponoć z jednego z lodowców w Ilulissat wycieliła się góra lodowa, która zatopiła Titanica.



Jan Siemiński

POLSKA

Podaruj mi trochę słońca

Ta fotografia powstała w czerwcu koło wsi Dąbrówka Malborska. Pole pełne maków znajdowało się tuż przy drodze. Niestety, na niebie wisiała czarna chmura, mocno padało. Jednak warto było czekać w samochodzie ponad godzinę na 15 minut słońca i ten kadr.





Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W temacie e-maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści – imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar fotografii to 2 MB.



WOLNOŚĆ WŁADZA CZARNY

Magdalena Zelewska



FOT. MAGDALENA ZELEWSKA



FOT. MAGDALENA ZELEWSKA

Hawana. Bujająca się w rytmie clave, poszatkowana niszczejącą już mocno architekturą art deco, upstrzona samochodami rodem ze starych hollywoodzkich filmów... Hawana to jednak przede wszystkim ludzie – zgrupowani na placykach czy siedzący na progach swoich mieszkań, nierzadko z telefonami w dłoni.



MUZYKA HAWANY

Wieczorami ściany budynków odbijają melodie jak z „Buena Vista Social Club”. Wystarczy podążyć za jedną z nich, by znaleźć się na dachotarasie którejś z licznych knajpek i niespodzianie uczestniczyć w koncercie prawdziwych wirtuozów.

Kiedy palące za dnia słońce chowa się za horyzont, wszyscy wychodzą na zewnątrz. Otwierają na oścież masywne, zdobione portale, zapraszając innych do środka. Albo najzwyczajniej siadają w progu, zachęcając tym samym do pogawędki przy cygarze, szklaneczce cuby libre, szachach lub coraz częściej... przy smartfonie.



ŻYCIE NA PROGU

Przyzby to dla Kubańczyków najlepsze miejsca spotkań towarzyskich. Tam przesiadują, grają w szachy czy domino oraz dyskutują. A zwyczaj ten pielęgnują już od maleńkości.

FOT. MAGDALENA ZELEWSKA



WŁADCA KOTÓW

Przy targowym stoisku z rybami króluje sprzedawca w kowbojskim kapeluszu, a jego malowniczo podopieczni cierpliwie oczekują na coś smacznego.

INTERNET DLA WYBRANYCH

Stały dostęp do sieci jest na Kubie wciąż możliwy tylko dla wybranej grupy ludzi, czyli ok. 5 proc. społeczeństwa – pracowników rządowej administracji, naukowców, lekarzy... Dorywczo można jednak podłączyć się przy jednym z 237 istniejących w kraju hotspotów, które zresztą łatwo rozpoznać po tym, jak są oblegane przez setki internautów podczepionych do Wi-Fi jak winogrona do kiści. Aby jednak korzystać z punktów dostępowych, należy się zaopatrzyć w kartę nawigacyjną

(nav), której jedynym dostawcą jest państwowa telekomunikacja ETESCA. Przed jej butikami ciągną się więc wielometrowe kolejki, które kubek w kubek przypominają te peerelowskie, w oczekiwaniu na jakikolwiek pożądaný towar – dywan, kolorowy telewizor czy pralkę.

Potem za godzinę dostępu do internetu w hotspotcie płaci się 1,5 CUC (peso kubańskiego wymiennalnego, równowartość ok. 6 zł). Toteż najbardziej przedsiębiorczy współdzielą swoje połączenie (używają własnych komórek jako hotspotów) i sprzedają na placach kody



za 1 CUC za godzinę. Jakość połączenia pozostawia jednak wiele do życzenia. Ale dla wielu Kubańczyków mających rodziny na Florydzie czy w Hiszpanii jest to jedyna możliwa forma kontaktu z nimi. Używają do tego najczęściej aplikacji IMO, która działa dość prosto i nie wymaga szybkich łączy.

Ci, którzy są szczęśliwymi posiadaczami komputerów, mogą w domowym zaciszu czytać zagraniczną prasę i oglądać filmy za sprawą tzw. pakietów. Jest to po prostu wędrujący pendrive, na którym zapisano najnowsze odcinki



FOT. MAGDALENA ZELEWSKA

SZLIFOWANIE FORMY

Opustoszałe ulice miasta są wykorzystywane jako boiska czy podwórka. I chociaż Kuba nie odnosi sukcesów w piłce nożnej, to mali hawańczycy nie przestają o nich marzyć.





FOT. MAGDALENA ZELEWSKA

STREET ART

Uliczny artysta ze swoim dziełem. Wykonał je na obdrapanym frontonie domu, w którym mieszka.

popularnych amerykańskich seriali, ostatnie wydania czasopism, a nawet kopie kinowych produkcji. W ostatnich latach rozpowszechniło się przekazywanie danych z pakietów (za pomocą Bluetootha) także na smartfony bez karty SIM. Zawartość jest aktualizowana co poniedziałek, a korzystający z takiego abonamentu mogą się cieszyć treścią internetu bez żadnego dostępu do sieci.

SATELITY W SYNAGODZE

Nawet taki zakres dostępu do świata to dla Kubańczyków niemal luksus. Trudno to sobie wyobrazić, ale jeszcze w 2007 r. posiadanie komputera czy telefonu komórkowego było dla nich nielegalne. W 2013 r. urzędzeń tych na terenie kraju działało zaledwie 470 – i wszystkie umieszczone w rządowych kafejkach internetowych.

Stworzono też uludę kontaktu ze światem w postaci wewnętrznego intranetu. Wikipedię zastępowała w nim EcuRed – alternatywa, która miała za zadanie szerzyć wiedzę z „demokratycznego, nieobliczonego na zysk i obiektywnego punktu widzenia dawnej

kolonii, która wybiła się na niepodległość”. Z kolei Facebooka miał zastępować RedSocial. Żadna z platform nie cieszyła się jednak zbyt dużą popularnością. Do tego ceny dostępu do internetu były co najmniej zawyżone (4,5 CUC za godzinę, przy średnich miesięcznych zarobkach 25 CUC), a przepływ informacji – ściśle kontrolowany.

W 2009 r. niejaki Allan Gross został nawet skazany na 15 lat więzienia za skonstruowanie Wi-Fi na terenie Kuby. Aby umożliwić tutejszej żydowskiej społeczności komunikowanie się ze światem zewnętrznym, stworzył trzy anteny satelitarne, które umieścił w synagogach. Użył do tego szerokopasmowego Global Area Network (GAN) i terminala wielkości laptopa. Jak sam twierdzi, „przyświecał mu cel wędrowania, gdzie tylko chce, oraz zapalania świeczek w postaci łączności ze światem”.

Ostatecznie jego historia skończyła się jedynie czteroletnią odsiadką, ale sam fakt jej zaistnienia dobitnie świadczy o tym, w jakim stopniu kubańskie autokratyczne władze dbają o kontrolę i jednolitość przekazu informacji, które z różnych kanałów mogą docierać do obywateli.

OKUPANCI HOTSPOTÓW

Do tej pory winą za powolny rozwój infrastruktury sieciowej rząd obarczał embargo, jakie na Kubę nałożyły USA, oraz związane z nim wysokie koszty inwestycji. Prawdziwym powodem była jednak obawa władz przed utratą panowania nad społeczeństwem i możliwość wybuchu niepokojów. Dziś deklaracje Raula Castro są jednoznaczne: chce, żeby jak najszybciej każdy mieszkaniec Kuby miał dostęp do internetu. Kiedy te obietnice staną się faktem? I czy w końcu na wyspie naprawdę zmienią się relacje między władzą a społeczeństwem? Trudno powiedzieć.

Świadomość, że przy nielicznych hotspotach już dziś koczują tysiące młodych Kubańczyków o twarzach rozświetlonych poświatą smartfonów, może trochę przerażać, zresztą nie tylko strażników upadającego systemu. Rodzi się bowiem obawa, czy Kubańczycy – wychowani w ciekawej kulturze społecznego współobcowania – nie wykorzenia się ze swojej spontanicznej, naturalnej potrzeby bycia z innymi. I czy na pewno będą używać internetu jako narzędzia, a nie szkiełka, przez które nazbyt często zdobywa się pozorne prawdy o świecie oraz buduje powierzchowne relacje międzyludzkie. ○



Magdalena Zelewska

Absolwentka filologii polskiej na UMK w Toruniu i MJM Graphic Design w Paryżu. Laureatka licznych konkursów fotograficznych w Polsce i za granicą. Zafascynowana ludami plemiennymi, odbyła wiele podróży do takich krajów, jak Etiopia, Ekwador, Indonezja, Birma czy Papua, czego efektem jest cykl zdjęć „Into The Tribes”. Mieszka w Paryżu.

FOT. MAGDALENA ZELEWSKA

WIECZÓR W SIECI

Zimne światło smartfona pada na twarze jego użytkowników i tajemniczo kontrastuje z ciepłymi barwami hawańskiej ulicy.



FOT. SHUTTERSTOCK

KARAIBY NA KAUKAZIE

Stanisława Budzisz-Cysewska

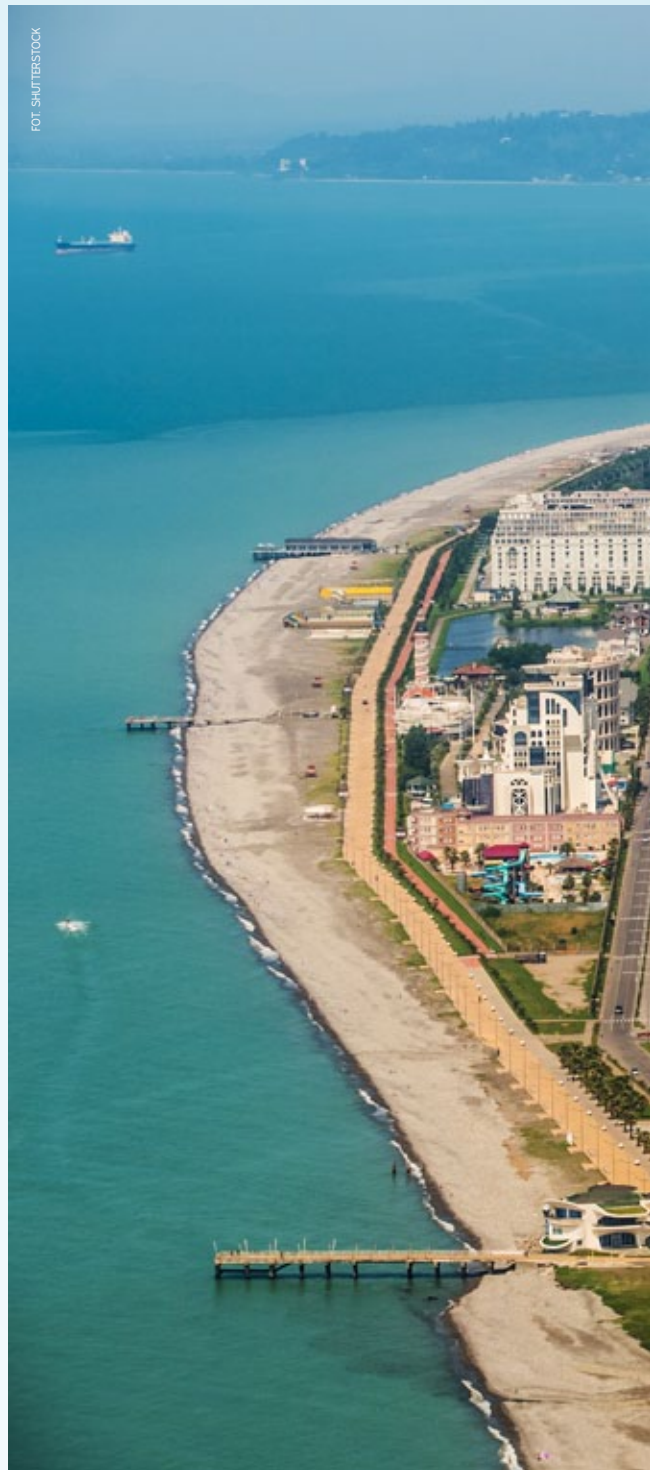
Najmniej gruzińskie z gruzińskich miast. Od reszty kraju różni je w zasadzie wszystko: kuchnia, folklor, architektura, a nawet religia. Miasto, do którego prawo rościły sobie nie tylko Gruzja, ale także Turcja, Rosja i Wielka Brytania. Później, w myśl prezydenta Saakaszwilego, miało stać się wizytówką Gruzji. Ikoną nowoczesności. Jakie więc jest Batumi? Zapraszamy na wycieczkę po mieście kontrastów.



Siedmiometrowe posągi najslynniejszych kochanków Kaukazu stoją na batumskiej promenadzie. Mówi się, że symbolizują przyjaźń azerbejdżańsko-gruzińską. Historia Ali i Nino, potomka muzułmańskich chanów i gruzińskiej księżniczki z rodu Dadianich, opowiada o miłości. Ale nie tylko. Jej autor, Kurban Said, oddał w treści także burzliwą historię początku XX w. oraz tradycję Kaukazu. Kto zna kaukaskie *love story*, wie, że miastem, w którym mieszkali tytułowi bohaterowie, było azerbejdżańskie Baku. Dlaczego więc ich pomnik stanął w gruzińskim Batumi? Ale zacznijmy od początku.

MIEDZY CHRZEŚCIJAŃSTWEM A ISLAMEM

Batumi to stolica Adzarii, jednego z najmniej odkrytych i spopularyzowanych regionów Gruzji. Można pokusić się o stwierdzenie, że prócz samego miasta, które niegdyś słygnęło



z malowniczych pól herbaty, o regionie wie się niewiele. Adżaria do czasów naszej ery była częścią królestwa Kolchidy i dopiero od IV w. zaczęto nazywać ją gruzińskim królestwem Lazyki. Z racji swego położenia była polem walki między Persją a Bizancjum. Ostatecznie, po burzliwych walkach, w X w. weszła w skład zjednoczonej Gruzji. W XVII w. podbili ją Turcy osmańscy i siłą narzucili mieszkańcom islam. W przeciągu stu lat nowa religia zdołała

odwrócić proporcje i chrześcijanie znaleźli się w zdecydowanej mniejszości.

Turków przepędzili z Adżarii Rosjanie i sami zajęli ich miejsce. Zaczęli się osiedlać w regionie chrześcijańskich Gruzinów oraz sprowadzać Rosjan, nawet z odległych terenów. Z jednej strony wynikało to z polityki kolonizacji zajętych ziem, ale miało także drugie podłoże – Rosjanie nie ufali gruzińskim muzułmanom i bali się ich związków z Turcją,

KOLORY CZARNEGO

Nowoczesne wybrzeże Morza Czarnego, którego wody mienia się wieloma kolorami. Czasem potrafi być zielone, kiedy indziej turkusowe, by niekiedy zmienić się w granatowe, prawie czarne (jak na poprzedniej stronie).



która nie chciała się pogodzić ze stratą tego terenu. Kto więc czuł się Turkiem – bez problemu mógł wyemigrować do sąsiedniego kraju. Do dziś tuż za granicą Gruzji żyją więc Lazowie, czyli zislamizowani Gruzini.

Pozbycie się islamskiej ludności było jednym z celów carskiej władzy. Kiedy to się nie udało, Rosja zrobiła wszystko, by mieć ich po swojej stronie. Zwłaszcza że na Adżarię cały czas zerkała Turcja, wierząc w lojalność jej muzułmańskich mieszkańców. Petersburg inwestował więc w budowę meczetów, rozwój medres i z czasem zaczął zyskiwać coraz większą przychylność tej grupy.

CZARNE ZŁOTO W RÓŻOWYM MIEŚCIE

Spokój w Batumi był ważny, ponieważ od czasów boomu naftowego w azerbejdzańskim Baku port nad Morzem Czarnym stał się strategicznym miejscem na mapie Kaukazu. Do batumskiego portu ropociągami płynęło

czarne złoto prosto z Morza Kaspijskiego i stąd właśnie trafiało dalej do Europy. Wielkimi inwestorami naftowymi w Azerbejdżanie oraz w Persji byli Anglicy i kiedy podczas I wojny światowej flota Ententy pojawiła się na Morzu Czarnym, Wielka Brytania położyła rękę także na Batumi.

W brytyjskich planach Batumi miało zyskać nawet status wolnego miasta, jak Gdańsk. Dałoby to Anglikom możliwość kontrolowania portu naftowego oraz dysponowania wojenną flotą na zachodnim Kaukazie. Powodem, jaki podano Gruzinom, była odrębność religijna mieszkańców miasta, którzy nie zdążyli jeszcze określić swojej przynależności narodowej. Był to też czas wielkiej zawieruchy politycznej, która w rezultacie zmieniła mapę świata na kolejne siedemdziesiąt lat. Anglikom opłacało się utrzymywać port, dopóki mieli swoje interesy w nadkaspjskim Azerbejdżanie. Kiedy wiosną 1920 r. rządy tam przejęli bolszewicy, losy Batumi były przesądzone. Anglia wycofała się z miasta w czerwcu 1920 r.

ALI I NINO

Ruchome rzeźby przedstawiające legendarnych kochanków Kaukazu łączą się w pocałunku na nadmorskiej promenadzie.



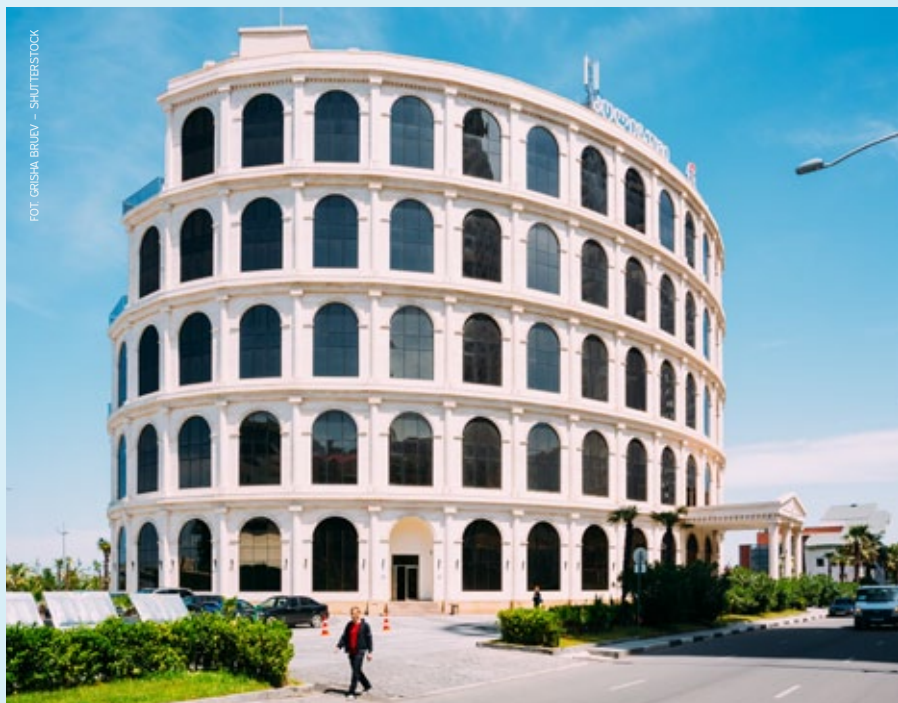
i oddała je Gruzji. Dla tej ostatniej był to cios poniżej pasa, ponieważ odstąpienie Wielkiej Brytanii było jednoznaczne z wkroczeniem na dobre bolszewików do kraju.

Jak wiadomo, byli oni dalecy od jakiegokolwiek religii, niemniej jednak nawet dla nich różnice między Gruzją „właściwą” a Adżarią były tak znaczne, że zdecydowali się nadać jej status republiki autonomicznej. W czasach sowieckich różnice kulturowe i religijne powoli się zacierały. Miała na to wpływ nie tylko ateizacja, ale także standaryzacja życia w Związku Sowieckim. Jednak samo miasto w jakimś stopniu zachowało swoją odmienność, m.in. dzięki istniejącej do dziś dzielnicy tureckiej, w której można posłuchać śpiewu muezina i napić się herbaty w stylowej szklanceczce.

Batumi wyróżnia się na tle innych gruzińskich miast charakterystyczną XIX-wieczną zabudową, która mocno przypomina karaibskie miasteczka. Niczym po kolorowej Hawanie możemy przespacerować się wąskimi uliczkami o niskiej zabudowie z wiszącymi balkonami w kolonialnym stylu. Uderza też kolorystyka miasta, które upodobało sobie róż. Można powiedzieć, że to on jest kolorem Adżarii.

WIEŻA Z CZACZĄ

Islam okazał się dla Adżarii zbyt mało gruziński i zbyt mało europejski, dlatego też kieszonkowy dyktator Aślan Ibrahimowicz Abaszydze, który rządził republiką na przełomie XX i XXI w., przeszedł na chrześcijaństwo. Abaszydze należał do klanu zislami-zowanego i chrztem przekreślił wiekowe tradycje swojego rodu. Adżarią zarządzał wedle własnego widzimisię. Cieszył się poparciem Moskwy, robił więc to, co chciał. Do Tbilisi nie fatygował się nawet na wezwanie prezydenta, a podatki płacił, kiedy chciał i ile chciał. Kiedy do władzy doszedł Saakaszwili, który zamierzał uporządkować wewnętrzne sprawy związane z autonomiami i separatyzmami w Gruzji, Abaszydze wysłał na niego swoje (adżarskie) wojsko. Popierany przez Zachód nowy prezydent Gruzji pozbył się autokraty, który schronienie znalazł w przychylniej Moskwie i żyje tam do dziś. A Saakaszwili przystąpił do realizacji projektu o nazwie: Batumi.



Miasto szanuje tradycje. Przy czym – nie tylko kaukaskie. Zwiedzanie można zacząć od czasów najdawniejszych, czyli od królestwa Kolchidy i związanego z nim mitu o wyprawie Argonautów. Na centralnym placu miasta, Europejskim, lśni w słońcu księżniczka Medea i trzyma w dłoni złote runo, po które przybył do Kolchidy Jazon. W południowo-zachodniej Gruzji często nawiązuje się do mitu o wyprawie Argonautów. Między innymi w sąsiedniej Megrelii jest wieś o nazwie Kolchida, a w całej Gruzji popularnością cieszy się piwo pod nazwą Argo.

Saakaszwili postanowił zrobić z Batumi ekskluzywny kurort, do którego będą ciągnąć turyści z całego świata. Inwestycje widać na każdym kroku: nowoczesne kasyna, olbrzymie hotele, przestronne restauracje. Spacer doprowadzi nas do eleganckiego, wielkiego placu Batumi, który liczy 5700 m². Czekają tu na nas pełno restauracji, kawiarenek i hoteli we włoskim stylu. To jednak nie koniec odniesień do Włoch. Niedaleko centrum znajdziemy hotel w formie rzymskiego Koloseum, który powali swoją wielkością.

Nowoczesny prezydent chciał, by było światowo i by każdy znalazł w Batumi coś dla siebie. Kazał więc zbudować holenderski wiatrak, dom do góry nogami, fikuśny

VIVA ITALIA!

W Batumi można się natknąć na wiele włoskich motywów. Na fotografii jeden z nich – Koloseum.



FOT. ANDRI LUTSKYK - SHUTTERSTOCK

PROMENADA NA WSZYSTKO SIĘ NADA

Tu każdy znajdzie coś dla siebie: kafejkę, karuzelę, rolki, skuter czy leżak do opalania.

w formie McDonald's oraz wieżę czaczy. Nie jest to jednak nazwa, która ma coś wspólnego ze słynnym latynoamerykańskim tańcem. Czacza to wysokoprocentowy alkohol wyrabiany w Gruzji ze skórek winogron. Idea wieży była fenomenalna. Otóż codziennie od godziny 19 przez piętnaście minut z czterech dystrybutorów miał płynąć ten tradycyjny gruziński trunek. Dziś, kiedy Saakaszwilego nie ma już u władzy, czacza nie sączy się szerokim strumieniem, ale zaciekawieni turyści, mimo wszystko, z nadzieją wyczekują wieczora.

W Batumi nie można zapomnieć o unikatowym XIX-wiecznym ogrodzie botanicznym z egzotycznymi roślinami. Zebrano tu okazy niemal z całej kuli ziemskiej i podzielono je na sekcje: Australia, Nowa Zelandia, Himalaje, Ameryka Północna itd. Każdej unikalnej floryze przeznaczono odrębny kawałek ziemi. Co ciekawe, w drodze do ogrodu, który znajduje się około 6 km od centrum miasta, na nadmorskich wzgórzach zobaczymy charakterystyczne układy tarasowe – to pozostałości po osławionych herbacianych polach Batumi.

FOT. SHUTTERSTOCK



BATUMI, ECH, BATUMI

W Batumi nie sposób ominąć nadmorskiej promenady: zadbanej, przystrojonej i zaprojektowanej z myślą o spacerowiczach. Co kawałek mijamy nowoczesne rzeźby, podświetlane palmy, które przypominają gigantyczne ananasy, stoły do bilardu i ping-ponga, salony masażu, klimatyczne kawiarenki czy głośne dyskoteki. Promenadę z jednej strony zamyka delfinarium, w którym trzy razy dziennie można obejrzeć spektakl, uświetniany przez tańczące ssaki. Delfiny nie są tutaj przypadkiem, Gruzja leży w klimacie podzwrotnikowym, a one są naturalnymi mieszkańcami Morza Czarnego. Miniemy tańczące fontanny, przy których warto zatrzymać się, by zobaczyć festiwal światła. Strumienie wody tańczą codziennie tuż po zachodzie słońca, nie tylko do gruzińskiej muzyki, ale także do wielu szlagierów, w tym do słynnej polskiej piosenki „Batumi, ech, Batumi” Filipinek.

Przy roztańczonych fontannach możemy podziwiać futurystyczny budynek z diabelskim młynem, znajdującym się prawie na jego szczycie. To Uniwersytet Technologiczny, który nigdy nie został otwarty. Niedaleko wieży z czaczą czeka na nas jedna z najbardziej ekstrawaganckich budowli Batumi – pomnik alfabetu gruzińskiego. Tę 130-metrową wieżę zaprojektował hiszpański architekt Alberto Domingo Cabo. Przedstawia ona 33 litery jednego z najstarszych alfabetów świata, które pną się w górę po ażurowej konstrukcji, a na jej

szczycie obraca się restauracja. Warto dodać, że w 2016 r. alfabet gruziński został wpisany na listę UNESCO jako niematerialne bogactwo Gruzji. Samą zaś promenadę wieńczy ruchomy pomnik Gruzinki i Azera.

Obok nowoczesnego, przeszklonego i oświetlonego miasta jest jeszcze drugie Batumi. Zepchnięte na dalszy plan, zastawione fasadą nowych domów i odnowionych placów. Wystarczy wejść w boczną ulicę, by zobaczyć miasto, które tętni życiem. Z praniem wywieszonym między blokami, z rozpadającymi się balkonami, skleconymi z czego popadnie, z przyblokowymi wiatami na wieczorną imprezę. Tutaj właśnie widać dwoistość tego miasta, w którym miesza się Wschód i Zachód. Bazarowy kicz przeplata się z szykiem, który chciał być Zachodem. Chciał, ale nie zdążył. Jeszcze niedobudowane, już popada w ruinę. Jeszcze nieotwarte, a już odrapane, puste, niezamieszkanne.

I być może to jest właśnie odpowiedź na pytanie, dlaczego Ali i Nino znaleźli swoje miejsce w Batumi. Oba te miasta – Batumi i Baku – łączy nie tylko fakt, że leżą na Kaukazie oraz mają dostęp do morza. Baku to niezaprzeczalny Wschód, a Batumi za wszelką cenę chce być Zachodem, ale nie może. Na każdym kroku wychodzi z niego pogranicze. Islam i chrześcijaństwo. Kompromis. Tak jak w opowieści Kurwana Sa-ida, Ali i Nino, by być razem, muszą pójść na kompromis. ○



Stanisława Budzisz-Cysewska

Dziennikarka, reporterka i tłumaczka. Absolwentka filologii polskiej i rosyjskiej, doktorantka Uniwersytetu Gdańskiego. Zawodowo i hobbystycznie interesuje się zagadnieniami postkolonializmu, polityki współczesnej Rosji i jej wpływami na republikę byłego ZSRR.

PANORAMA EDUKACYJNA

Widok na pomnik alfabetu gruzińskiego oraz na Uniwersytet Technologiczny.





SZCZĘŚCIE POŚRODKU OCEANU

Dariusz Kowalczyk



FOT. DARIUSZ KOWALCZYK



FOT. DARUSZ KOVALCZYK

W miarę zdobywania turystycznych doświadczeń zniechęcam się do odwiedzania kierunków, gdzie stada przewodników, taksówkarzy i handlarzy okupują popularne miejsca. To jest coraz bardziej męczące. Od tego jestem naprawdę wolny na Malediwach! Mało kto wciąga tam do sklepu z pamiątkami czy do restauracji, nie ma też azjatyckiego chaosu na drogach. Te wyspy umożliwiają wyciszenie w bliskości z przyjazną naturą.

Trzeba doświadczyć Bangkoku i Tajlandii, zwiedzić Malezję, Bali, Emiraty i wiele innych zatłoczonych miejsc na świecie, aby zdać sobie sprawę, że coraz trudniej znaleźć takie do wypoczynku. Trzeba trochę pobyć w tłumach zwiedzających lub popływać zatłoczonymi statkami, żeby docenić „nudne” wędrówki prawie bezludnymi malediwijskimi plażami.

Nie jest to wcale koniec świata, na który organizuje się męczącą wyprawę. Kupujemy bilet na dogodne połączenie lotnicze, następnie wsiadamy na prom lub wyczarterowaną łódź i lądujemy na rajskiej wyspie, gdzie do hoteliku jest parę kroków. Przelot oferuje dziś kilkadziesiąt renomowanych linii. Na każdej wyspie znajdziemy wygodne łóżko, prysznic i klimatyzację. Toteż wracam tu zawsze z przyjemnością oraz z głębokim przekonaniem, że nie będzie to ostatni raz.

UCYWILIZOWANE DELIKATNIE

– *Tylko tutaj czuję, że żyję!* – przekrzykuje fale i szum silnika młody Szkot, z którym płyniemy promem na Fulidhoo. Stoimy na dachu i obserwujemy mijane ośrodki. – *Zobacz! Latające ryby!* – Pokazuje szybujące nad wodą rybki. – *A tam delfiny.* – Wskazuje na wynurzające się płetwy podążającego za promem stada. – *A zobaczycie, co będzie na Fulidhoo... Tam płaszczyki jedzą z ręki.* Niedługo później przekonujemy się, że to prawda. Stado płaszczyk „pasie” się stale obok pomostu przy potężnej ławicy małych rybek. Dzisiaj promem nie huśta, ale mieliśmy już przygody z potężnymi falami i ucieczką z dachu na dolny pokład przed gniewem oceanu. Nawet tubylcy oddawali daninę Neptunowi...

Nazwa Malediwy pochodzi od sanskryckiego *maladwipa* (tamilskiego *maala divina*) – „naszyjnik wysp”. Ten kraj, rozłożony na 26 atolach przypominających paciorki, oferuje delikatnie ucywilizowane rajskie wyspy; na tyle ucywilizowane, żeby poczuć się komfortowo i bezpiecznie, a zarazem mieć wrażenie odizolowania i obcowania z naturą.

Tutaj nawet całodzienny pobyt na bezludnej wyspie nie jest trudny. Wystarczy umówić

się, o której ma po nas przypląć łódź. Można też popłynąć na *sandbank*, czyli łacę piachu bez żadnej roślinności, otoczoną oceanem, i zorganizować tam piknik z grillowaniem i nurkowaniem. A potem umknąć przed przyplływem, który przykryje wysepkę płytką warstwą krystalicznej wody.

WIERZYĆ CZY MIEĆ?

Na Malediwach można być zaszokowanym dobrą jakością usług hotelarskich (choć zarazem niekiedy przerażać się ich ceną). Na szczęście jest sporo alternatywnych i tanich hoteli. Problemem może być tylko niedrogi dotarcie do nich. Bo jeśli nie łodzią, to bardzo popularnym tutaj hydroplanem. Ale często przejazd jest droższy od hotelu. Najgorszą praktyką jest monopol resortów na własny transport. Za obowiązkowy transfer w tej samej niemałej cenie zapłacimy przy odbiorze z lotniska, jak i np. z wyspy oddalonej od ośrodka o kilometr. Nie możemy przy tym dopłynąć do przystani wynajętą przez siebie łodzią, bo albo nas nie wpuszczą, albo i tak doliczą do ceny pokoju koszt transferu.

Turystyka na Malediwach rozpoczęła się w 1972 r. od powstania pierwszych

zamkniętych wysp – resortów. Wkrótce ich liczba zaczęła wzrastać i obecnie sięga już ponad 100 usytuowanych na wyspach niepublicznych, a więc takich, na których nie mieszkają tubylcy. Od niedawna turystyka malediwska zaczęła się jednak rozwijać dwutorowo. Nastąpiło to po liberalizacji prawa w 2008 r. i przyzwoleniu na powstawanie hoteli oraz pensjonatów na wyspach publicznych. Dawniej turyści właściwie nie stykali się z tubylcami, chyba że podczas krótkiej wycieczki. Przed liberalizacją islamskim władzom trudno było pogodzić widok różnielizowanych turystek z religijnym charakterem ustroju państwa. Ale i dziś przybysze są informowani o wielu obowiązujących tu zakazach – od spożywania alkoholu, przez pokazywanie się w strojach bikini, aż po obnoszenie się ze swoją wiarą.

Malediwy to kraj w pełni islamski. Działalność misjonarska oraz propagowanie innych wyznań są surowo zakazane, a nawet karane. I na każdym kroku widać, że kraj boryka się z dylematem: „wierzyć czy mieć?”. Szczytem hipokryzji jest pomysł z pływającymi łodziami z alkoholem. Na wyspach publicznych alkohol jest zakazany, ale na zacumowanej w porcie łub w pobliżu wyspy łodzi – już nie. Korzystają

DLA LEPSZYCH GOŚCI

Bungalowy Adaaran Club Rannalhi (atol Kaafu). W ośrodkach jest drożej niż na wyspach publicznych, ale czystiej, no i rafy są w lepszym stanie. Na „resortowych wyspach” spokojnie zaktócają wyłącznie turyści, bo tubylcy tutaj tylko pracują.

PO RYBY NA RAMADAN

Na Maafushi (atol Kaafu) w okresie ramadanu. Na zdjęciu rodzinny potów ryb rafowych, które jednak będą spożywane dopiero po zmroku.





FOT. DARIUSZ KOWALCZYK

ŻYCIE WOKÓŁ PRYZYSTANI

Tradycyjna malediwska łódź na wysepce Fulidhoo (atol Vaavu). Przystań lub mały port to główne miejsce na każdej publicznej wyspie. Przy niej zbierają się mieszkańcy w oczekiwaniu na prom, przybycie rybaków lub statków z turystami.

z tego ich pomysłowi właściciele, serwując alkoholowe drinki kilka metrów od brzegu.

Te ogólnodostępne wyspy są tańszą alternatywą i ekonomicznym sposobem na przeżycie drogie Malediwy. Dawniej pobyt na atolach kojarzył się tylko z ekskluzywnymi resortami. Teraz małe hotele i pensjonaciki otworzyły możliwości pobytu dla zwykłych turystów. A warto przecież pokazać ten piękny kraj nie tylko bogaczom – pasjonatom fotografowania, nurkowania czy sportów wodnych. Pełni szczęścia dopełnia brak komarów!

To dom życzliwych i uczciwych ludzi. Są trochę skazani na monotonne życie bez skrawka stałego lądu – rozsiani na malutkich oazach zieleni. Z nudą radzą sobie, organizując turnieje piłkarskie, publiczne projekcje po zachodzie słońca i koncerty (każda wyspa ma swój zespół muzyków i tancerzy). Z około 1200 wysp rozrzuconych na Oceanie Indyjskim tylko 200 jest zamieszkałych. A łączna powierzchnia wszystkich to zaledwie obszar średniego polskiego miasta wojewódzkiego.

Pomimo zagrożenia ze strony rosnącego poziomu oceanów oraz zniszczeń dokonanych w 2004 r. przez tsunami, Malediwy zaczynają

przypominać wielki plac budowy. Powstają tu dziesiątki hoteli i restauracji. Zamiast przygotowań do ewakuacji rozpoczyna się gospodarcza ekspansja. Widać również pierwsze efekty większych inwestycji kapitałowych w bazę hotelową – z basenami, saunami i spa – wypierającą pensjonaty typu „leżanka, prysznic i sedes”. Ale budowniczowie nie mają tutaj łatwo – wszystko, nawet żwir i piasek, trzeba importować. Nie można nawet płukać własnego zasolonego piasku, skoro nie ma w nadmiarze słodkiej wody...

GROŹNIEJSZE NIŻ OCEAN

Prawie każda malediwska wyspa składa się z przystani, szkoły, meczetu, czasem i minaretu. Są jeszcze kafejki i sklepiki sprzedające pamiątki, chemię gospodarczą i podstawowe produkty żywnościowe. Gdzieś w chaszczach jest zwykle ukryty budynek małej elektrowni lub panele solarne, ponadto stoi obowiązkowy i szpecący krajobraz maszt telefonii komórkowej. Rzadko zdarzają się bary i restauracje – kuchnie mieszczą się zazwyczaj przy pensjonatach i hotelach. A typowa

„promenada” przypomina pełną ścieżkę. Wkoło oczywiście króluje ocean, rafy koralowe w szmaragdowych lagunach, biały jak puder piasek i palmy malowniczo pochylające się nad bezludnymi plażami.

Co różni Malediwy od innych egzotycznych plaż? Duża liczba małych wysp, otoczonych spokojną ciepłą wodą. Wielkie i groźne fale szumią gdzieś daleko od brzegu, rozbijając się o rafę lub brzeg laguny, za to plaże są obmywane łagodnymi wodami przypominającymi te z mazurskich jezior. Wchodzi się do nich jak do ciepłej wanny, a pod powierzchnią czeka kolorowy film z życia rafy.

Uderza zupełna nieobecność gór, a nawet pagórków. I jeszcze jedna obserwacja: brak typowego ruchu ulicznego – tylko skutery, rowery i czasem samochód lub wózek akumulatorowy. Na całych Malediwach jest 80 km asfaltowych dróg, z czego na wyspie ze stolicą i lotniskiem – 60 km.

Ekologicznie uświadomieni są tutaj tylko turyści. Można wędrować w poszukiwaniu kosza na śmieci i go nie znaleźć. Trzeba w ostateczności zanieść śmieć do hotelu, bo ten prawdopodobnie ma jakiś pomysł na jego utylizację. Pewnie wywiezie go transportem morskim na wyspę-wysypisko, gdyż na wysypisku miejscowym tubylcy usypują wielką

stertę i próbują ją podpalać, dyżurując przy ognisku. Wokół rozsnuwa się czarny dym z palonego plastiku. Mieszkańcy dorzucają do ciągle rozniecanego ognia suche liście palm i skorupy orzecha, ale śmieci palą się z trudem. Ilość tych niepalnych roślin i powoli zaczyna być problemem. Dym obserwowaliśmy na Maafushi, Thulusdhoo, Dhifushi.

Pomimo wielu zabiegów na wyspach publicznych jest brudno. Byliśmy pozytywnie zaskoczeni tylko czystością Thinadhoo – tam na plaży nie zalegały plastiki, resztki z kuchni, potłuczone butelki, gruz z rozbieranych domostw i budow. Natomiast reszta odwiedzanych wysp zachowywała czystość tylko w części centralnej, czyli w okolicach portu lub przystani. Na ubitych z piasku drogach kobiety zamiatają piasek aż nazbyt gorliwie, za to na styku plaż i domostw jest po prostu wysypisko. Czasem po przyplywie plaża znika, a woda zabiera śmieci, by je potem zwrócić w innym miejscu.

Im dalej od stolicy, tym lepiej dla środowiska. Dociera tutaj mniej turystów, nie opłaca się też tak daleko budować przetwórnicy czy fabryczki. Im dalej od stolicy, tym bardziej wyspy przypominają rajskie samotnie. Produkują tylko prąd, słodką wodę i... no może jeszcze trochę śmieci.

NA ZAPLE CZU LUKSUSU

Śmieci na Maafushi. Ta wyspa drogo płaci za swoją popularność. Dogodny punkt przesiadkowy – blisko lotniska i stolicy, z licznymi pensjonatami – generuje ogromne ilości śmieci. To nieprzyjemne wysypisko znajdowało się około 200 m od hotelowej restauracji.

FOT. DARIUSZ KOVALCZYK





FOT. DARIUSZ KOVALCZYK

LUKSUS BEZ NOCLEGU

Malownicze pejzaże w pobliżu ośrodków można uwiecznić na każdym kroku. To wymarzone tła dla nowożeńców i fotograficznych sesji plenerowych. Tyle tylko, że w luksusie bywa bardzo drogo. Dobrym wyjściem są jednodniowe wycieczki do takich resortów – bez noclegu można pławić się w luksusie już od 80 USD za osobę.

Z kolei te w pobliżu stolicy i lotniska zamieniają się w betonowe pustynie. Asfalt, beton, blokowiska, huk samolotów, plaża z restrykcjami religijnymi i woda śmierdząca benzyną i ropą. Mieszkałem dwa dni w Hulhumale w oczekiwaniu na lot i miałem już tego dosyć. Znam biura podróży, które także tam sprzedają miejscówki pod hasłem rajskich wakacji. Trzeba uważać na takie oferty.

KOKOS DOBRY NA WSZYSTKO

Wśród owoców królują tutaj kokosy i owoce chlebowca, które miejscowi smażą na głębokim tłuszczu, otrzymując chipsy. Palmy kokosowe zapewniają mnóstwo rzeczy użytkowych

i spożywczych. Mohamed, właściciel sklepiku, zaprasza nas do swojego domostwa na Fulidhoo i długo tłumaczy różnice pomiędzy orzechami kokosowymi. Nam podaje te pomarańczowe. Sprawnie rozłupuje maczetą orzech położony na dłoni. Zamykam oczy w obawie o jego palce, ale orzech pękł, a ręka cała... Opowiada o palmach i wyrobach z kokosa. Od pomarańczowych do zielonych, każdy inny, chociaż dla nas wyglądają i smakują podobnie. Orzeźwiający płyn, wiórki wykorzystywane w różnych potrawach, mleczko, olej, liście. Długo by wymieniać przydatność palmy. Nawet ryby z grilla potrzebują kokosowych skorup.

Podstawą diety na Malediwach są ryby. Owoce morza nie są tu tak cenione jak

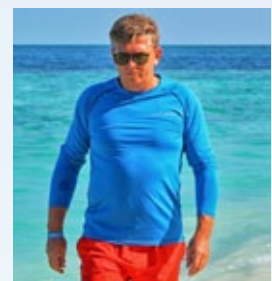


w innych krajach, ale ryby to codzienność. A przede wszystkim tuńczyk. Jego mięso spotyka się we wszelakich postaciach: wędzone, suszone, gotowane, smażone i pieczone. Bardzo mi smakowała popularna potrawa *mashuni*, czyli wiórki tuńczyka i kokosa z cebulką i chili. To wszystko jest skropione limonką i podane wraz z plackami *rosbi*. Idealne śniadanie.

Najgorzej mają turyści na małych wyspach w okresie ramadanu. Przeżyliśmy pobyt w tym okresie na Fulidhoo i nie było łatwo. Jedyna kafejka z jedzeniem była otwierana po zmroku. Musieliśmy prosić hotel o przygotowanie choćby jednego posiłku dziennie, a resztę dnia zapychaliśmy się orzechami, batonami i zupkami instant kupionymi w sklepie z pamiątkami. Skoro miejscowi poszczą,

to i turyści powinni... Rezerwując hotel, warto więc dopłacić za posiłki, bo często hotelowa restauracja jest jedyną na wyspie, jak np. na Thinadhoo. Zwykle nie ma aż tylu turystów, żeby restauracjom sieciowym opłacało się inwestowanie. Malediwy odwiedza rocznie ponad milion gości, ale rozplývają się gdzieś na setkach wysepek.

Opuszczając Malediwy, myślę, że znowu miałem szczęście. Widziałem je wciąż niezadeptane i nieodebrane mieszkańcom przez wzbierający ocean. (Chociaż plan ewakuacji podobno już sobie przygotowali – na Sri Lankę lub do Australii). Ich samotność wśród wodnego bezkresu jest jak życie na wulkanie. Ale na razie cieszą się z uzyskanej niepodległości i wierzą w swoje szczęście. ○



Dariusz Kowalczyk

Bibliotekarz, dziennikarz, raczej samodzielny turysta niż podróżnik. Podczas licznych wyjazdów uaktywnia swoją pasję fotograficzną. Podróżuje wraz z żoną.



DZIECI ZEUSA

Marta
Matosek

Ubrani w brudne łachmany i wyposażeni w znak rozpoznawczy – plastikowe wiaderko po taniej margarynie, wylęgają na ulice miast Senegalu zaraz po porannej modlitwie w meczetach. Często pochodzą z bardzo biednych rodzin, które oddają ich pod skrzydła muzułmańskich nauczycieli – marabutów. Jednak zamiast spędzać czas na naukach, są zmuszani odpracowywać koszt edukacji poprzez zebranie. Doświadczają przy tym przemocy, głodu i biedy.



FOT. MARTA MATOŚK

W Senegalu, którego 92 proc. ludności wyznaje islam, uczniowie koraniczni (*talibés*) to chłopcy w wieku od pięciu do piętnastu lat. Jest ich tutaj, żebrzących na ulicach, ponad 50 tysięcy! Ale w nadmorskim mieście Saint-Louis mieszka i człowiek, artysta, znany pod pseudonimem Zeus, który wnosi w ich trudne życie radośniejsze odcienie. Ten artysta uczy *talibés* malarstwa.



DZIENNA NORMA MAŁEGO ŻEBRAKA

Zeusa poznałam w dniu jego 40. urodzin, przy ulicznej galerii, gdzie wystawiał płótna swoje i chłopców. Samo miasto Saint-Louis, choć słynie z przepięknej kolonialnej architektury, ma również mniej chlubne osiągnięcie. Otóż jest jednym z największych w Senegalu skupisk młodocianych żebraków. Ich liczbę szacuje się na ok. 9 tysięcy!

Zeus otwarcie dzieli się ze mną ciemnymi aspektami codziennego życia tych dzieciaków: – *Talibés mają nakaz przyniesienia swemu nauczycielowi dziennego utargu w wysokości 500 franków (80 eurocentów). Lokalne społeczności są ubogie, więc nie jest to „norma” łatwa do osiągnięcia. Często chłopcy są bici przez marabutów, kiedy przynoszą za mało pieniędzy. Niektórzy boją się wracać do szkoły i śpią na ulicach – co naraża ich na jeszcze większe niebezpieczeństwa.*

Według opublikowanego w 2017 r. raportu organizacji Human Rights Watch (HRW), promującej prawa człowieka, sytuacja *talibés* w niektórych szkołach koranicznych w Senegalu jest wręcz tragiczna. Mieszkają w przeludnionych, zapyziałych salach, z kiepskimi warunkami sanitarnymi. Niedożywienie i choroby są tam powszechne. Zdarzają się przypadki pobic, przywiązywania i więzienia chłopców z powodu słabych wyników w żebractwie. Autorzy raportu odnotowali



FOT. MARTA MATOSK

DZIECI ULICY

Z charakterystycznymi plastikowymi wiaderkami proszą o pieniądze, ale też jedzenie, wodę i mleko, których nie zapewniają im nauczyciele. Mieszkańcy Saint-Louis, choć sami ubodzy, starają się pomagać, jak mogą. Wrzucają datki lub zatrudniają *talibés* przy drobnych pracach.

też przypadki wykorzystywania seksualnego uczniów przez nauczycieli.

– *Ci chłopcy są zostawieni sami sobie* – opowiada Zeus – *więc kilka lat temu zdecydowałem się coś z tym zrobić. Zaczęłem prowadzić dla nich kurs malarstwa...*

Z iskrą w oku i niebieskim szalem wokół szyi mój rozmówca wygląda jak stereotypowy reprezentant świata artystycznego. Jednak to tylko część prawdy o nim.

– *Ja też kiedyś byłem talibé* – wyznaje. – *Ale miałem więcej szczęścia, bo moi rodzice nigdy nie wysyłali mnie na żebra w zamian za naukę.*

Płacili marabutom za moje lekcje koraniczne, mimo że sami nie mieli dużo pieniędzy. Zeus dorastał więc, obserwując z bliska ciężki los swoich kolegów, którzy musieli zarabiać na ulicach obcych miast.

MORALNY UPADEK MARABUTÓW

Tak jak i w jego dzieciństwie, obecni *talibés* pochodzą przeważnie z bardzo uboższej grupy etnicznej Peul, zamieszkującej północny Senegal (okolice Padoru i region Matam),



FOT. MARTA MATOSK

a nawet z ościennych Mali i Gwinei Bissau. Ich rodzice mają często wyobrażenie, że koraniczna edukacja i życie w mieście przyniosą ich synom lepsze możliwości zatrudnienia. Niektórzy z kolei mają po prostu zbyt wiele osób do wykarmienia w domu, wołają więc tę liczbę jakoś zredukować...

Tradycja wysyłania chłopców do szkół koranicznych sięga początków islamu w Afryce Zachodniej. Dzisiaj uwydatnia ona głównie koszty przemian społecznych oraz nadużycia współczesnej ekonomii. W przeszłości aspirujący chłopcy z ubogich rodzin pomagali marabutom w uprawie ich małych poletek. Ta praca była tradycyjnie traktowana jako forma rekompensaty dla mistrza za nauczanie. Miała również na celu zaszczepienie w żakach cennych wartości – takich jak praca, cierpliwość czy pokora.

Te szlachetne ideały upadły z czasem wraz z postępowaniem gospodarczym. W sytuacji poważnych problemów gospodarczych Senegalu po

odzyskaniu niepodległości w 1960 r., w wyniku gwałtownej urbanizacji oraz ubożenia ludności wiejskiej marabuci i ich uczniowie udawali się za chlebem do miast. To, co w przeszłości było formą praktyki i lokalnej edukacji, przemieniło się w końcu w ponury biznes, gdzie profesjonalni handlarze żywym towarem mieszają się z co bardziej „przedsiębiorczymi” marabutami oraz z uczonymi, którzy autentycznie mają na względzie wykształcenie swoich podwładnych.

Nawet niektórzy islamscy uczeni w Senegalu są krytyczni wobec tej praktyki. – *To nie powinno mieć miejsca w islamie* – żali się Moustafa, uczony koraniczny z Dakaru. – *Islamska edukacja powinna być przekazywana za darmo, a marabuci powinni zająć się pracą zawodową. Ale oni zrobili z tego biznes.*

System edukacji koranicznej jest głęboko zakorzeniony w senegalskim społeczeństwie i sięga wieki wstecz, zanim jeszcze francuscy kolonizatorzy wprowadzali tam szkolnictwo świeckie. Dlatego w bardziej

SIOSTRZENICA ZEUSA

Dziewczynka lubi spędzać czas w pracowni wujka, a czasami nawet „pomaga” mu tworzyć dzieła sztuki.



FOT. MARTA MATOSEK



FOT. MARTA MATOSEK

MISTRZ I KURSANTCI

Wystarczyło, żeby kiwnął ręką i zawołał coś w języku wolof, a w jednej chwili pojawiła się wokół grupa *talibés*. To uczestnicy malarskiego kursu Zeusa. Każdy z nich miał inną historię do opowiedzenia, ale łączył je wspólny wątek – bieda rodziców.

konserwatywnych społecznościach te reformy kształcenia religijnego są nadal postrzegane jako próby interwencji neokolonialnej. Pomimo wysiłków rządu w rozprawieniu się z problematycznymi marabutami religijni nauczyciele cieszą się wciąż wysoką pozycją w społeczeństwie.

– *Marabuci nadal mają duży autorytet* – podkreśla Zeus – *więc nawet gdy są zatrzymywani przez policję, to zaraz się ich zwalnia. Nie*

ma mowy o skończeniu z tym ich ciemnym biznesem. Szczególnie przed kolejnymi wyborami.

PRZEZ SZTUKĘ DO WOLNOŚCI

Pomimo że wiele lat minęło od czasów, gdy Zeus sam był *talibé*, jego empatia wobec żebrzących przekształciła się w coś więcej. Obecnie jest dobrze znanym twórcą na tutejszej



scenie artystycznej, a jego pracownia „Lor dur” („twarde złoto”) zapełnia się nie tylko płótnami. Od dwóch lat, raz w tygodniu, wypełnia się bowiem głosami tych chłopców, którzy przychodzą tu na zajęcia z malarstwa. „Lor dur” stał się przystanią, gdzie mogą oni wyzwolić własną kreatywność, a także wyrazić swoje emocje poprzez sztukę.

Początki tej inicjatywy nie były wcale proste. Zeus musiał najpierw przekonywać

marabutów, aby pozwolili mu pracować z ich uczniami. – *W Saint-Louis jest około 120 nauczycieli Koranu. Ale tylko dwaj z nich byli na tyle otwarci, żeby zaakceptować moją pracę z uczniami* – mówi Zeus. A po chwili dodaje: – *Po jakimś czasie zauważyłem, że niektórzy marabuci przestali nawet ze mną rozmawiać.*

Obecnie Zeus pracuje z 20 chłopcami. W każdą środę, po południowej modlitwie, *tablibés* przychodzą do jego pracowni malarskiej,

PERŁA BEZ BLASKU

Saint-Louis było niegdyś perłą i stolicą kolonii francuskiej. Jego stare miasto, położone na wyspie, wpisano nawet na listę dziedzictwa UNESCO. Wiele z budynków popada w ruinę. Rząd senegalski, z pomocą międzynarodową, próbuje przywrócić zabytkom dawny blask.



FOT. MARTA MATOSEK



Marta Matosek

Z zawodu ekspertka pomocy rozwojowej i humanitarnej, a prywatnie podróżniczka poszukująca tego, co znaczące. Pod pseudonimem Roshan Marta dzieli się na blogu relacjami z podróży (np. do Iranu i Afganistanu), współprowadzi również blog kulinarny (m2andmore).

gdzie pracują przez dwie godziny. Dostają też ciepłą stawę, a czasem świeże ubrania i lekcje francuskiego.

Przyjście do pracowni ma jednak swoją cenę. Przecież *talibés* mają dzienny przydział do wyżebrania, a więc czas spędzony na malowaniu muszą potem „nadrobić”. Jednak patrząc na zapal, z jakim chłopcy uczestniczą w zajęciach u boku Zeusa, jest to koszt wart zniesienia.

Dla *talibés* te dwie godziny tygodniowo to więcej niż tylko lekcja malowania. Zajęcia w pracowni mają dla nich głęboką wartość terapeutyczną. Pędzel i płótno pozwalają wyrazić siebie, opowiedzieć w różnych barwach swoje historie, podzielić się obawami i marzeniami.

Sześciolatek Salyou zebrane już od trzech lat. Wygląda na nieśmiałego i to zajęcie nie jest z pewnością dla niego łatwe. Salyou uwielbia malować, a w przyszłości pragnie zostać znanym artystą...

Z kolei dziewięcioletni Alyou wygląda na nieźle ustawionego finansowo w porównaniu z resztą. Ma czyste ubranie, a w uszach słuchawki – wyraźny znak, że mu się powodzi. Dowiedziałam się, że Alyou w żebraczym biznesie funkcjonuje od kilku dobrych lat. Ma żyłkę przedsiębiorcy, obecnie pracuje z turystami jako przewodnik i powoźnik konnych dorożek. Kiedyś chciałby założyć swój własny biznes.



JESZCZE TYLKO DZIÓB UMALUJE

Sztuka jest częścią życia mieszkańców Saint-Louis. Prowadzą galerie, pracownie rzeźby, wytwórnie tkanin i masek. Jeszcze inni, jak ten starszy artysta i jego uczeń, parają się zdobieniem łodzi rybackich, zacumowanych przy ujściu rzeki Senegal.



FOT. MARTA MATOSEK

Ale jeden z *talibés* naprawdę sięgnął gwiazd spod syjącego się dachu pracowni. Otóż pewnego razu Zeusa odwiedził wybitny artysta z Dakaru. Gdy zobaczył niezwykle dzieło drugiego Ayou (11-letniego), dostrzegł w jego twórcy ślady geniuszu. Nie tylko kupił obraz, lecz także wysłał chłopca na studia do renomowanej Akademii Sztuk Pięknych w Dakarze.

Ale los nie wszystkich chłopców zmienia się tak cudownie. – *Można powiedzieć, że około 40 proc. z nich pomyślnie wydobywa się z doświadczenia przymusowego żebractwa* – mówi Zeus. – *Dla reszty pozostaje ono nadal przeżyciem traumatycznym, wiodącym niekiedy,*

już w dorosłości, do złodziejstwa, przestępczości i handlu żywym towarem.

Zeus wierzy jednak, że jego inicjatywa kontaktu ze sztuką może przeobrazić życie chłopców. – *Sztuka rozbudza w nich świadomość własnych zdolności oraz moc kontrolowania swojego losu.*

A na koniec dodaje: – *Marabuci się obawiają... Boją się, że kreatywność może rozbudzić uspijoną świadomość chłopców. Ten cały „system talibé” jest zresztą kompletnie popapwany, ale trudno go wykorzenić. Właśnie dlatego zdecydowałem się pracować z jego ofiarami. Chcę rozwijać ich zdolności tak, aby pewnego dnia były w stanie się z niego uwolnić.* ○

GORZKI PLAKAT

Jedno z dzieł Zeusa oraz jego małych pomocników. „Lara bila rane” w języku wolof oznacza „Daj trochę pieniędzy na chleb”. Z kolei na koszulce namalowanego chłopca pojawia się pytanie: „Dlaczego nie ma dziewczynek talibés”? (Zeus na to pytanie odpowiadał gorzko: – *Bo za pieniądze z żebractwa chłopców marabuci kupują sobie młode żony.*)

GEOSKOP

OBEJRZANE
PRZECZYTANE
ZASŁYSZANE

POD PATRONATEM POZNAJ ŚWIAT I NIE TYLKO

DŹWIĘKI PÓŁNOCY



Festiwal jest projektem Nadbałtyckiego Centrum Kultury, wydarzeniem mającym stałe miejsce w kulturalnym kalendarzu Gdańska oraz na folkowej mapie Polski. Prezentuje najwybitniejszych artystów, reprezentantów muzyki tworzonej z inspiracji folklorem basenu Morza Bałtyckiego. Północny wątek festiwalu, niespotykany w formule innych wydarzeń w Polsce, sprawia, że ma on oryginalny klimat, doceniany zarówno przez widzów, jak i artystów.

Festiwal został zapoczątkowany w latach 70. jako przegląd kaszubskich zespołów folklorystycznych, by z czasem rozszerzyć zasięg i formułę o udział grup ludowych i folkowych z Polski, wreszcie – przedstawicieli krajów nadbałtyckich.

Obecnie Festiwal Dźwięki Północy odbywa się co 2 lata, by podczas kilku letnich wieczorów uwodzić publiczność najpiękniejszymi fuzjami tradycji z nowoczesnością, prezentując zarówno „oryginalnych” folkowych twórców, jak i profesjonalnych

muzyków inspirujących się muzyką etniczną, jej niezwykłym instrumentarium i atmosferą. Miejscami festiwalowymi będą Centrum św. Jana oraz Ratusz Staromiejski w Gdańsku. W programie imprezy dominują koncerty czołowych artystów folkowych z Polski, Szwecji, Norwegii oraz Finlandii. Ważną częścią jest program edukacyjny – warsztaty tańca i śpiewu oraz zabawy taneczne. Ponadto w tym roku organizatorzy przygotowali niespodziankę – wydarzenie związane ze skandynawskimi kulinariami.



GDAŃSK ALTERNATYWNIE

To już ósmy sezon popularnych spacerów po wyjątkowych dzielnicach Gdańska. Spacerują bezpłatnie i odbywają się 2-3 razy w tygodniu w każdej dzielnicy. W czasie wakacji Lokalni Przewodnicy i Przewodniczki oprowadzają około 5 tys. osób podczas 200 spacerów. Pierwszą dzielnica, w której od 2011 r. organizuje

się alternatywne wycieczki, jest Zaspą, wyróżniająca się blisko 60 muralami wykonanymi przez 64 artystów z 16 krajów. Przepiękną panoramę Gdańska można obejrzeć z położonej nieopodal Śródmieścia Biskupiej Górki, która jest usytuowana na mającym około 60 m wzniesieniu, na którą można się dostać brukowanymi uliczkami

pośród oryginalnych kamieniczek z przełomu XIX i XX w. Na Dolnym Mieście miłośnicy modernizmu zachwycają się budynkiem Gdańskiego Monopoli Tytoniowego, a fani motoryzacji – historią montowania amerykańskich samochodów osobowych oraz dziejami zabytkowej zajezdni tramwajowej. Mury w Nowym Porcie pamiętają niejedną tajemnicę nadmorskiej osady, można tu też zobaczyć rzeźbę ryby pomuchel, Statuę Wolności i Kulę Czasu. Orunia to dzielnica położona pomiędzy malowniczymi wzgórzami morenowymi a polderami gdańskich Żuław. Panuje w niej niepowtarzalny przedmiejski klimat, a spacerowicze znajdą tu m.in. Kanał Raduni i przepiękny park Oruński. Uwieczniona w wielu powieściach Stefana Chwina czy Güntera Grassa Oliwa jest piękną dzielnicą, która od lat architekturą i przyrodą przyciąga mieszkańców i turystów na długie spacerunki po parku Oliwskim, na wzgórze Pachołek, jak również do Doliny Ewy czy Doliny Radości.

Szczegółowy harmonogram:
www.ikm.gda.pl/lokalniprzewodnicy



ETIOPSKIE OPOWIEŚCI DOS GRINGOS

Alicja Kubiak i Jan Kurzela wyruszają na kolejną wyprawę. Tym razem celem jest Etiopia, jej plemiona i ich kultura. Podróżnicy chcą się zagłębić w tradycje i zwyczaje rdzennych grup etnicznych. Etiopia jest bardzo atrakcyjnym krajem również pod względem położenia, dlatego Dos Gringos zaplanowali liczne trekkingi w najładniejszych miejscach. Malownicze jeziora, doliny i góry tworzą niepowtarzalny krajobraz. Podróżnicy planują też poznać bliżej legendarne królestwo Saby, zobaczyć, gdzie swoje rządy sprawował król Menelik I, syn Saby i Salomona, pierwszy król Etiopii. Chcą także udać się do Aksum, miejsca, gdzie podobno nadal znajduje się Arka Przymierza, zobaczyć słynne i fascynujące kościoły skalne w Lalibelli oraz odwiedzić wioskę etiopskich Żydów – bardzo ciekawej grupy etnicznej, u której miesza się obrzędy chrześcijańskie z żydowskimi.



KAJAKIEM PRZEZ DUNAJ DLA NIEPODLEGŁEJ

Miłość Piotra Gajgiera do kajakarstwa zaowocowała zdobyciem Wisły w 14 dni podczas samotnego spływu kajakowego królową polskich rzek z okazji Roku Rzeki Wisły. 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości, przypadające w tym roku, zainspirowało nauczyciela historii i wos-u z karczewskich szkół do propagowania patriotyzmu i zapoznawania Europejczyków z historią Polski. Jak tego dokonać? Płynąć kajakiem przez niemal pół Starego Kontynentu i promować nasz kraj,

a także powiat otwocki poprzez rozpowszechnianie wizerunku otwockzanki Ireny Sendlorowej – Matki Dzieci Holocaustu oraz Karczew obchodzących w tym roku 470-lecie.

Inicjatywa zakłada samotny spływ Dunajem na dystansie 2860 km przez 10 europejskich państw, w tym 4 stolicy – Wiedeń, Bratysławę, Budapeszt i Belgrad, poczawszy od Niemiec (Donauessingen), a skończywszy

w Rumunii w porcie Sulina leżącym nad Morzem Czarnym. Planowany czas wyprawy to ok. 45 dni – od 24 czerwca do 8 sierpnia. Przebieg spływu będzie można śledzić na Instagramie i Facebooku.



FOT. P. GALBER

BIKE ORIENT

Rajd Bike Orient po raz drugi zawita w Świętokrzyskie. Gospodarzem imprezy, która odbędzie się 30 czerwca, będzie gmina Miedziana Góra. Baza rajdu będzie zlokalizowana w Ośrodku Sportów Masowych w Ćmińsku.

Rajdy Bike Orient to imprezy na orientację z 10-letnią historią. Zadaniem uczestników jest odnalezienie w terenie za pomocą mapy jak największej liczby punktów kontrolnych w jak najkrótszym czasie. Klasyfikacja



FOT. PAWEŁ BANASZKIEWICZ

będzie prowadzona na trzech trasach: Fan 30 km, Mega 60 km i Giga 120 km. Punkty pozwolą uczestnikom odwiedzić interesujące miejsca regionu świętokrzyskiego: dawne kamieniołomy, punkty widokowe, miejsca pamięci narodowej, kultu religijnego, malownicze zakola rzek. Na trasie będzie bufet, a na mecie – ciepły posiłek regeneracyjny oraz grill. Najlepsi w rywalizacji mogą liczyć na trofea sportowe oraz upominki. Przewidziana jest również dodatkowa klasyfikacja mieszkańców gminy Miedziana Góra.

www.bikeorient.pl

BUS NA LUZ

Sześcioro studentów: Martyna Lorbicka, Mikołaj Gajda, Iga Bielińska, Przemysław Tobolewski, Oliwia Bagińska, Jacek Laser od trzech lat prowadzi projekt Jedziemy Po Wolność, w ramach którego organizują wyprawy. W 2015 r. odbyli podróż starym fiatem 125p wokół Polski. W 2016 r. przejechali 1000 km rowerami po Polsce wschodniej. W 2017 r. 32-letnim busem, volkswagenem T3 dotarli na Gibraltar i z powrotem. W międzyczasie założyli blog podróżniczy (jedziempowolnosc.pl), a za kilkanaście dni odbędzie się premiera ich debiutanckiej książki, opisującej trzy lata podróżowania. Tegorocznym celem jest

odbycie 5-tygodniowej wyprawy po Bałkanach. 10 tys. km 33-letnim volkswagenem T3 o imieniu Bogdan. Autorzy projektu podróżują budżetowo ze względu na studentkie portfele. W trakcie wypraw nie wydali ani złotówki na noclegi – spali na dziko lub u nowo poznanych osób. Żywią się tym, co sami ugotują, i odwiedzają piękne miejsca natury, nie zapominając o dziedzictwie historycznym. Zdaniem całej ekipy największym sensem podróżowania jest poznawanie obcych ludzi, ich świata, historii, przekonań i stosunku do pojęcia „wolność”. Studenci wyruszają 1 lipca.



FOT. JEDZIEMPWOLNOSC.PL

ZDROWY KRĘGOSŁUP – ŻYCIE BEZ BÓLU

SPONDYLO-CLINIC i CENTRUM TERAPII KRĘGOSŁUPA

NOWA SIEDZIBA WE WROCŁAWIU



Centrum prowadzi dr Jarosław Jawny – spondyliatra, terapeuta manualny i internista – uznany ekspert w dziedzinie chorób kręgosłupa.

Nasze Centrum słynie z nowoczesnych i skutecznych metod leczenia kręgosłupa. Stosujemy metody, które są uznawane za najlepsze na całym świecie. **Proloterapia, terapia manualna, igłoterapia, wszelkiego rodzaju masaże, indywidualny trening kręgosłupa, kinezyterapia, specjalna dieta**, ale to nie wszystko – posiadamy technologie XXI wieku. **Lasery wysokoenergetyczne** działa 30–50 razy skuteczniej niż inne. **SALUS** – głęboka stymulacja elektromagnetyczna i **SIRIO** – głęboka stymulacja kawitacyjna uruchamiają wszystkie ukryte struktury kręgosłupa, biodra, kolana czy stopy. Nowoczesna **komora hiperbaryczna – terapia tlenowa (HBOT)** to światowy przełom w leczeniu. **Nowa krioterapia pulsacyjna** szybko uwalnia od różnych dolegliwości, a także **ból reumatyczny. Nasz HIT liposukcja bez skalpela EXILIS, trening i HBOT** pozwalają szybko na powrót do **zgrabnej sylwetki** na przykład dla **kobiet po ciąży**. Stosujemy tak zwane **terapię skojarzone**, czyli połączenie wielu metod, co daje rewalacyjne rezultaty u każdego.

Z jakimi schorzeniami najczęściej trafiają do Was pacjenci?

Po prostu boli ich kręgosłup lub kolano, biodro, czy też bark. Albo są po wypadku. Inni lekarze nie potrafili im pomóc. A **ból należy leczyć zawsze** i za wszelką cenę. Złe leczenie kończy się nerwicą i depresją. Im szybciej podejmiemy leczenie, tym szybciej i taniej przywrócimy zdrowie. Jako jedyni nie tylko leczymy, ale i pomagamy zapobiegać chorobom, dbamy o ciało, jego **sprawność i wygląd**.

Doktor Jarosław Jawny i jego zespół przyjmują w Centrum Terapii Kręgosłupa we Wrocławiu przy ul. Wyszyńskiego 116/2. Tel. 71 791 59 23, 71 726 11 71, 503 183 095.

Co to jest proloterapia?

Proloterapia to przyczynowy sposób leczenia bólu stawów i kręgosłupa. Podajemy preparat w miejsce uszkodzonego elementu stawu, mięśnia lub więzadła. Likwidujemy ból poprzez naprawę uszkodzonej tkanki i jej struktury. Najwyższą skuteczność osiąga się, podając gotowy **kolagen MD** lub osocze bogatopłytkowe (**PRP**), które uzyskuje się po odwirowaniu własnej krwi pacjenta. **PRP** to zagęszczone płytki krwi i **czynniki wzrostu, stymulujące** przebudowę naprawczą tkanek, ścięgien czy mięśni. **Odrasta nowa, zdrowa tkanka.**

Czemu kolagen jest aż tak ważny?

Kolagen, a szczególnie fibrynogen, jest odpowiedzialny za to, że nasze tkanki są elastyczne i mocne. Jego brak sprzyja uszkodzeniom wielu struktur (kolana, biodra, ale też dyskopatie czy przepukliny). Zbudowane z tkanki łącznej ścięgna czy więzadła mogą się rozciągać tylko do pewnego stopnia, przekroczenie go powoduje bowiem ich naderwanie lub pęknięcie.

Dlaczego tracimy kolagen? Co jest przyczyną?

Przyczyną są stany zapalne tkanek (kostnej, mięśniowej, nerwowej, łącznej), podszły wiek, zmiany zwyrodnieniowe, urazy, zakwaszenie organizmu (przetrenowanie, kawa, stres), zła dieta, brak witaminy C i D3.

Czy starszym ludziom można pomóc?

Dostarczamy kolagen tak, żeby w uszkodzonym miejscu następowała regeneracja. Do jej **pobudzenia** należy podać **czynniki wzrostu (PRP)** i uzupełnić kurację nowoczesną rehabilitacją. Pacjenci **odzyskują sprawność i przestają odczuwać ból**. A jeśli dostarczymy im **tłenu w komorze**, to tak, jakby dostali **nowe życie**.

A co z ludźmi po wypadkach lub urazach sportowych?

Ważne jest prawidłowe i szybkie rozpoczęcie leczenia. Zastosowanie **proloterapii z kolagenem** lub **PRP** i **właściwej rehabilitacji oraz fizykoterapii na najnowocześniejszym sprzęcie** znacznie skraca czas leczenia i całkowitego wyzdrowienia.

Czy skierowanie na operację to koniec marzeń o sporcie czy normalnym funkcjonowaniu?

Oczywiście, że nie. Prawidłowe leczenie uszkodzonego dysku czy stawu oraz całego aparatu mięśniowego i więzadłowego prowadzi do szybkiego powrotu do zdrowia. **Trener kręgosłupa** jest wręcz niezbędny.

Czy leczenie PRP i kolagenem jest lepsze od innych metod?

Stosowanie tradycyjnych leków często przynosi wiele szkód. Jest czasochłonne



i nie naprawia uszkodzonych struktur. **PRP i kolagen działają szybko**, mają działanie naprawcze oraz nie powodują żadnych powikłań. **W połączeniu z HBOT naprawę weszliśmy w nowy wiek.**

UWAGA: prowadzimy też **leczenie stacjonarne dla pacjentów spoza Wrocławia**, ponieważ **wypoczynek** w dobrych warunkach **przynosi dodatkowe korzyści**.

Nasi specjaliści: lekarz spondyliatra, terapeuci manualni, ortopeda, lekarz rodzinny specjalista proloterapii starszych oraz magistrowie fizjoterapii i masażyści, profesjonalnie pomagają w krótkim czasie pozbyć się dolegliwości bólowych.

WARTO WIEDZIEĆ

Schorzenia, w których leczeniu się specjalizujemy, to: **bóle kręgosłupa, dyskopatie (przepukliny), rwa kulszowa, bóle i zawroty głowy, migreny, bóle kończyn, barku, bóle kolan i bioder, łokieć tenisisty, wady postawy i skoliozy, zespół przewlekłego zmęczenia, nerwobóle oraz wszelkie urazy sportowe i po wypadkach komunikacyjnych.**

PRZYMURUŻONE OCZY STAMBUŁU

Agnieszka Bartusiak





W HIPSTERSKIM KRĘGU
Cihangir to dzielnica, gdzie wolny czas uwielbiają spędzać artyści i koty.

W starożytności koty, uznawane za istoty o magicznej mocy, były czczone niczym bóstwa. Gloryfikowane i rozpieszczane, pomagały ludziom w chronieniu upraw zboża przed gryzoniami. Wraz z upływem czasu ich status ulegał zmianie, jest jednak jedno miejsce, gdzie nadal są traktowane jak boskie stworzenia.

W Stambule żyje 200 tys. kotów, ale tylko niewielki procent z nich ma prawdziwy dom. Wolne jak ptaki, przyjazne i niewinne niczym dzieci, z wrodzoną gracją ozdabiają to magiczne miasto położone na dwóch kontynentach. Turcy wierzą, że koty

mają nadzwyczajną moc i przekazują pozytywną energię tym, którzy są dla nich dobrodusznymi. Może dlatego te tureckie są całkowicie pozbawione agresji.

O ile w średniowiecznej Europie koty, kojarzone z oddanymi pupilami czarownic, nie cieszyły się pozytywnym odbiorem wśród

ludzi, o tyle w krajach muzułmańskich już od zarania dziejów miały wyjątkowy status. Legenda głosi, że Mahomet uznawał je za najczystsze istoty na świecie. Jego kot Muezza miał prawo pijać z tego samego naczynia co on i próbować dań, zanim ukochana proroka ich skosztuje. Według podań Muezza uratował Mahometa przed ukąszeniem jadowitego węża, co sprawiło, że prorok postanowił już na zawsze obdarzyć koty darem spadania na cztery łapy.

W SZPONACH EWOLUCJI

Kot to piękne, majestatyczne zwierzę, które nierzadko jest najlepszym przyjacielem

człowieka. Mimo to według aktualnych badań naukowców w ciągu najbliższych 11 lat to właśnie ludzie mogą doprowadzić do całkowitego wyginięcia tego gatunku. Bezdomne koty, uznawane za okrutnych łowców ptaków, żab, myszy i jaszczurek, trafiły na czarną listę ekologów. Sterylizowane, okaleczane i zabijane przez ludzi, już niedługo mogą na zawsze zniknąć z naszej planety.

Z badań wynika, że domowe koty, przyzwyczajone do gotowych posiłków, większość czasu na świeżym powietrzu przeznaczają na relaks. Te żyjące na stambulskich ulicach nie wyglądają na głodne. – *Miesięcznie wydaję 400 lir na dokarmianie bezdomnych kotów. Co dwa tygodnie kupuję 10 kg karmy, tej samej,*

KLIENT NASZ FAN

Tu koty wiedzą, że dosłownie każde miejsce jest dobre na relaks. Restauracja, która je przegania, szybko straci klientów.



FOT. SHUTTERSTOCK



LUNCH TIME

Stambulskie koty nie muszą polować. Ludzie dbają o to, aby nigdy nie były głodne.

bo przyzwyczajają się do pożywienia. Dbam też o to, żeby nie były spragnione, latem jest tu bardzo gorąco, a one nie mogą znaleźć czystej wody na ulicy – wyznała mi przy porannej kawie turecka malarka Leyla Dinmez. – Oczywiście dbam też o ich zdrowie – dodaje po chwili – i płacę za ich sterylizację. Koty, które dwu-

a nawet trzykrotnie wydają na świat potomstwo, są bardzo osłabione. Tak czy inaczej, bezdomne zwierzęta żyją krótko z racji chorób i wypadków samochodowych, więc staram się pomóc, aby żyły jak najdłużej.

W starożytności pozycja kotów była tak wysoka, że po śmierci ich ciała były



mumifikowane, a cała rodzina, oddając hołd pupilowi, goliła sobie brwi i pogrążała się w żałobie. Miłość ludzi do kotów sprawiła, że ich wizerunek niejednokrotnie został uwieczniony w malarstwie i rzeźbie tamtych czasów. Trzeba zaznaczyć, że koty zawsze inspirowały artystów i pomagały im w pracy,

będąc pierwszymi odbiorcami ich dzieł. Sztuka Tsuguharu Foujita, Paula Gauguina czy Henriego Rousseau byłaby znacznie uboższa, gdyby nie kocia egzystencja. Leyla Dinmez od wielu lat maluje tylko koty, głównie te napotkane na ulicy, najpierw je fotografuje, a potem tworzy bardzo realistyczną sztukę. – *Kiedyś malowałam głównie krajobrazy, ale po czasie uznałam, że ich najpiękniejszym elementem są właśnie koty. Te bezdomne są bardziej niezależne i często muszą walczyć o przetrwanie, dlatego są dużo ciekawszymi obiektami niż te domowe* – komentuje z pasją swoje obrazy Leyla.

PLAMKI, CĘTKI, PRĘGI

Stare tureckie przysłowie mówi, że „Jeśli zabijesz jednego kota, musisz wybudować jeden meczet, aby przeprosić Boga”. Bezdomne koty mogą więc się tam czuć całkowicie bezpiecznie. Co więcej, często sprawiają wrażenie, jakby ich status w tym kraju był podobny do statusu krów w Indiach.

W jednej z największych księgarni na Taksimie, zaraz obok regału z dziełami Orhana Pamuka, bury kot słodko drzemie między stosem książek – jak się okazuje, nie należy do właścicieli księgarni, ale jest ich regularnym gościem. W hipsterskiej dzielnicy Cihangir i ekskluzywnej Nisantasi bezpańskie koty bezczelnie opalają się na kawiarnianych krzesłach, przymilają do klientów i jak można się domyślać, często jedzą posiłki z tego samego menu. Turecka restauracja, która przegania zwierzęta zimą, bardzo szybko może stracić klientów. – *Turcy je kochają, nikt nie miałby serca przepędzać ich z lokalu* – tłumaczy śpiącego na restauracyjnej sofie kota Enis Onat, właściciel kilku lokali w Stambule. Enis jest nie tylko restauratorem, ale i właścicielem tureckiego kanału Fashion TV, aktualnie jest też w trakcie realizacji nowego projektu charytatywnego: – *Udało mi się zdobyć od państwa wolny kawałek ziemi, na którym planuję zbudować schronienie oraz klinikę weterynaryjną dla bezdomnych psów i kotów. Chcemy też, żeby tureckie hotele dostarczały tam pożywienie, które nie zostało wykorzystane danego dnia. Muszą je wyrzucać, dlatego więc nie dokarmić nim bezdomnych zwierząt* – mówi. Inicjatywa Enisa nie jest

APARTAMENT Z WIDOKIEM

W krajach muzułmańskich koty zawsze miały wyjątkowy status. Mogą się tam czuć bezpiecznie. Tu w miejscówce z widokiem na meczet Nuruosmaniye.

pierwszym takim zorganizowanym aktem miłosierdzia ze strony stambuńczyków. Kilka lat temu tureckie władze zarządziły wybudowanie miniosiedli dla bezdomnych kotów w dzielnicy Nishantashi. Są one zaopatrywane w karmę przez mieszkańców Stambułu. – *Myszę, że w naszej kulturze jest głęboko zakorzenione dbanie o stabszych. Lubimy się opiekować nie tylko zwierzętami, ale też ludźmi. Jeśli widzimy, że ktoś ma problemy – pomagamy. Nawet jeśli kogoś nie znamy, to dla nas jest zupełnie normalne zaproszenie go do domu na kawę, herbatę czy szklankę wody. Dużo podróżuję i wiem, że w innych krajach ludzie są bardziej zamknięci w sobie* – tłumaczy Simla Koksal, architekt wewnątrz i menadżerka Fadilloglu Design. – *Poirot, kot,*

którego przygarnęłam do domu z ulicy, jest dziś moim oddanym przyjacielem. Myszę, że gdyby ludzie przygarniali bezdomne zwierzęta, to handel kotami i psami przestałby istnieć i przyniosłoby to dobry skutek. Jest tyle bezdomnych zwierząt, które potrzebują miłości – komentuje, przeglądając telefon w celu pokazania mi całej kolekcji zdjęć swojego pupila. Kiedy Poirot podrośl, okazało się, że wygląda zupełnie jak norweski kot leśny. Skąd tyle różnych odmian kotów na stambulskich ulicach? Według weterynarza Tulin Ozkan rasowe często uciekają z domów i krzyżują się z tymi bezdomnymi. – *Już za czasów Imperium Osmańskiego na nasze ziemie przybyły koty perskie. Dzięki krzyżowaniu się z tureckim vanem stworzyły niepowtarzalną*



FOT. SHUTTERSTOCK

mieszankę. Dziś na ulicach Stambułu możemy podziwiać tak wiele odmian kotów, że nie starczyłoby fantazji na nadanie nazw im wszystkim.

Mamy więc najpiękniejsze koty bez rodowodu, duże i małe, o długiej lub krótkiej sierści, w pręgi i ciapki, całkowicie czarne lub albinosko białe. Wszystkie bez trzasko wplecione w tkanekę nadbosforskiego miasta.

ZAKLINACZ KOTÓW

W drodze na mój ostatni wywiad zastanawiałam się, kto komu jest potrzebny bardziej – mieszkańcy Stambułu kotom czy koty mieszkańcom Stambułu. Tę wątpliwość rozwiązał mój ostatni rozmówca. Sarper Duman czekał na mnie, siedząc przy ostatnim stoliku kawiarnianego tarasu. Na wstępie zapytał, czy w trakcie rozmowy może palić papierosa: – *Musisz zrozumieć, że nasza rozmowa to dla mnie bardzo emocjonalny moment. Trudno jest mi zaufać ludziom i dlatego tak dobrze czuję się w towarzystwie kotów. Jestem artystką i bardzo wrażliwą osobą. Kiedy miałem 18 lat, nie umiałem sobie poradzić ze świadomością, jak okrutni potrafią być ludzie, dlatego skoczyłem z dachu 4-piętrowego budynku. Gdy mnie uratowali, byłem wściekły, że to zrobili. Leżąc w łóżku, wracałem do zdrowia i za każdym razem, kiedy przez głowę przechodziły mi czarne myśli, na moją klatkę piersiową wskakiwał Sakir i mruczał. Nie wiem, w jaki sposób wyczuwał moje kryzysowe momenty. To dlatego dziś spokojnie mogę powiedzieć, że nie raz uratował mi życie. Sakir zainspirował mnie do ratowania bezdomnych kotów.*

Sarper Duman jest tureckim pianistą, jego każdy post wideo na Instagramie ma około 300 tys. wyświetleń i około tysiąca komentarzy w różnych językach. Sarper gra swoim kotom, a niektóre z nich nawet mu w tym pomagają, przechadzając się rytmicznie po klawiszach pianina. Aktualnie jest w trakcie tworzenia własnego albumu



FOT. AGNIESZKA BARTUSIAK

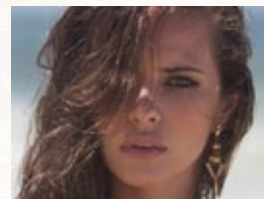
muzycznego. – *Moje koty dają mi natchnienie. Teraz mam ich dziewiętnaście, wszystkie przyciągnąłem z ulicy. Kiedy je znajdowałem, były chore, połamane, dwa z nich są ślepe – wyznaje, zaciągając się nerwowo kolejnym papierosem. – Wszystkie udało mi się uratować, nawet te, które weterynarz proponował uśpić. Jestem wdzięczny za ich oddanie i miłość, jaką mi ofiarują każdego dnia.*

Sarper przyznaje, że z racji jego popularności ludzie z całego świata kontaktują się z nim i nierzadko zgłaszają mu znalezione na ulicy koty: – *Chcę, abym je przyciągnął, bo myślę, że mam moc uzdrawiania. Niektóre doznały wielkiej krzywdy z rąk ludzi. Nie mogę pomóc wszystkim, które spotkał ciężki los, i dlatego dziś jestem taki smutny. Moja internetowa popularność i listy opowiadające o skrzywdzonych na ulicy kotach uświadomiły mi, jak okrutny jest ten świat – świat, który nie należy tylko do ludzi, choć wielu tak właśnie uważa.*

Jedyne miasto łączące Europę i Azję nie istniałoby bez kocich mieszkańców. Podobno bogowie stworzyli kota, bo chcieli zesłać na ziemię istotę o boskim wymiarze – piękną i bez wad. Tureckie talizmany na czterech łapach leniwie mrużą oczy, strzegąc swojego miasta. Z pewnością bez tej nieskazitelnej ozdoby Stambuł na zawsze straciłby swoją magię. ○

I WSZYSTKO GRA

Artysta Sarper Duman ratuje bezdomne chore koty. Przyciąga je do domu, inwestuje w leczenie i zwraca im wolność, kiedy wyzdrowieją.



Agnieszka Bartusiak

Diennikarka, reporterka, podróżniczka. Współpracuje z wieloma redakcjami. Jest modelką reprezentowaną przez największe światowe agencje.



PUNKT SIEDZENIA

Czyli czym się różni ekspata
od imigranta



Każdy chciałby być ekspatą. To ktoś, kto postanawia zmienić swoje życie i zamieszkać za granicą. Rzuca mało ekscytujący żywot przeciętnego zjadacza chleba, toczący się od kołyski aż po grób w tej samej, nudnej scenarii. On sięga po więcej. Wyprowadza się pod palmy, pod biegun, nad ciepłe morze, na koniec świata. Jest przebojowy, odważny, nietuzinkowy. Jedzie tam, gdzie będzie mu lepiej. Bo może.

Nikt nie chciałby być imigrantem. To ktoś, kto postanawia ocalić swoje życie i zamieszkać w kraju, gdzie nic mu nie grozi lub ma za co żyć. Opuszcza rodzinne strony, zostawia wszystko, co zna, i próbuje zawalczyć o lepszy los. Jedzie do Anglii, Niemiec, Francji, Stanów – z grubsza tam, skąd ucieka ekspata. Jest bezczelny, natrętny, roszczeniowy. Jedzie tam, gdzie przetrwa.

Łatwo rozpoznać ekspatę. Jego skóra w odcieniu kości słoniowej błyszczący na tle ciemnej masy miejscowych. Ma na sobie szorty, klapki i kwiecistą koszulę – radosny

uniform kogoś, kto zamienił więzienie biura na wolność cyfrowego nomady. Mijas go, gdy późnym rankiem, pogwizdując, idzie z laptopem pod pachą, by zająć miejsce w kawiarni z widokiem na morze. Nie spieszy mu się. Zamawia sok ze świeżo wyciskanych pomarańczy i lekkie śniadanie, a potem przez godzinę robi prasówkę, by być na bieżąco ze sprawami na świecie, który nic a nic go nie obchodzi. Później trochę popracuje, ale bez napinki. Tu, gdzie wszystko jest tańsze, nie trzeba się zaharowywać. Po południu jest czas na plażę, przejażdżkę skuterem

i spotkanie z przyjaciółmi, takimi jak on. To jak niekończące się wakacje. Sprytnie to wymyślił.

Jeszcze łatwiej rozpoznać imigranta. Jego ciemniejsza skóra kole w oczy w kraju, który zamieszkuje biała śmietanka. Nosi dziwne ciuchy, powłóczyście, wzorzyste, w kiczowatych kolorach – osobliwy zestaw kogoś, kto jeszcze nie pojął zasad gry. Możesz go nie dostrzec, kiedy o świcie zamiata ulice lub szykuje twój lunch na zapleczu restauracji. Uwija się jak w ukropie, a i tak wszyscy mówią, że za wolno się rusza. Tu, gdzie wszystko jest obłędnie drogie, jedna praca to za mało. Wieczorem, zanim padnie nieprzytomny na swoje posłanie, rozmawia przez telefon z rodziną, która została daleko. Mówi im, że jest dobrze. Bo przecież gorzej być już nie mogło.

Ekspata wszędzie jest mile widziany. Przywozi ze sobą powiew wielkiego świata. Ma też pieniądze, które – szącąc drinki i zamawiając masaże – inwestuje w lokalną gospodarkę. A gdy ma gest, daje zatrudnienie miejscowym, otwierając hotel lub szkołę surfingu. Fajnie jest

mieć ekspatę wśród znajomych. Miło odwiedzać go w jego domku przy plaży i razem sączyć mango lassi na tarasie, nad którym latają papugi. A potem zrobić wspólne zdjęcie i puścić w sieć. Niech wszyscy patrzą i podziwiają.

Dla imigranta lepiej byłoby, gdyby wracał, skąd przyszedł. Ciągnie się za nim smrodek Trzeciego Świata. Wyprowadza z gościnnego kraju pieniądze, wysyłając je rzeszy krewnych, którym nie udało się załapać na transport lub wizę. Zabiera miejsca pracy młodzieży, która z trudem zdobywa wykształcenie, by zaraz po przekroczeniu progu szkoły wystrzelić ze wspinaczką po szczyblach kariery. Nie jest dobrze widziane przyjaźnić się z imigrantem. Zresztą i tak nie ma się gdzie z nim spotykać. Na knajpę go nie stać, a w dusznym pokoju, współdzielonym z pięcioma takimi jak on, naprawdę nie ma miejsca dla gości.

Dwa słowa, jedno znaczenie. Przynajmniej teoretycznie. Ekspata (z łaciny *ex patria*, czyli poza ojczyzną) to ktoś, kto postanowił osiedlić się z dala od domu. Tak jak imigrant. Dlaczego więc jednych nazywamy tak, a drugich inaczej? Dlaczego los jednych budzi podziw, a drugich częściej politowanie?

Sednem najwyraźniej jest kierunek przeprowadzki. Isabelle Sudron, Brytyjka, która zamieszkała w Wietnamie, w artykule „6 ways living abroad made me a worse person” („6 przykładów, jak życie za granicą zrobiło ze mnie gorszego człowieka”) jest samokrytyczna. Przyznaje, że czerpała ze wszystkich przywilejów bogatej Europejki, która przeprowadza się do biedniejszego kraju. Dzięki oszczędnościom w funtach miała dużo lepszy start. Jej jasną skórę wszyscy uważali za piękną, co otwierało jej wiele drzwi. Jako native speakerka dostawała ciekawsze i lepiej płatne propozycje pracy niż miejscowi. Nie musiała też zadawać sobie trudu, żeby nauczyć się lokalnego języka. W Wietnamie spędziła szczęśliwe chwile, rozwijała się zawodowo. Sądziła, że to jej własna zasługa, aż zrozumiała, że od początku znajdowała się na lepszej pozycji i zadecydował o tym przypadek.

Afrykańczyk Mawuna Remarque Koutonin uważa, że jedyną różnicą między ekspatami a imigrantami nie jest ani kraj pochodzenia, ani pełny portfel, tylko kolor skóry. Na łamach Guardiana tłumaczy, że fajnie brzmiące słowo „ekspata”

Poznaj Świat
miesięcznik, który
uzależnia...
od czytania i podróży

teraz uzależnia
**także w wersji
cyfrowej**

Pobierz w
App Store

POBIERZ Z
Google Play

Przełącz na www
e.poznaj-swiat.pl

Poznaj Świat
MIESIĘCZNIK

ZAWSZE W ZASIĘGU

R E K L A M A

dotyczy wyłącznie białych. „Afrykańczycy są imigrantami, Arabowie są imigrantami, Azjaci są imigrantami. (...) To termin zarezerwowany dla gorszych ras”. Jeśli należysz do jednej z nich, to nieważne, ile osiągniesz, możesz co najwyżej uzyskać status imigranta wysoko wykwalifikowanego. Wall Street Journal zwraca uwagę, że ta segregacja obowiązuje w oficjalnym języku władz i międzynarodowych instytucji. W Hongkongu Europejczyk jest ekspatą, ale Chińczyk z innego regionu lub pracownik z Filipin jest tylko przyjezdnym, nawet jeśli mieszka tam od dziesięcioleci.

Emigracji, także tej lokalnej, przyglądam się w moich książkach. W jednej opisywuję przeprowadzki z prowincji do miasta,

w „Rzuć to i jedź” – życiorysy tych, którzy odważyli się zamieszkać w odległych zakątkach świata. Słuchając tych historii, zamarzyłam o tym, żeby pewnego dnia sama dołączyć do barwnej społeczności ekspatów. Marzenie się nie zmieniło. Ale nie mam nic przeciwko temu, żeby nazywać się imigrantką. Żaden problem. Przecież jestem już słoikiem. ☺

Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka.

Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachlanni” i „Hotel Bankrut”.

Ostatnio napisała książkę „Rzuć to i jedź, czyli Polki na krańcach świata”. Prowadzi blog podróżniczy www.zgubsietam.pl.

LOT KU SŁOŃCU

Jerzy Machura

FOT. SHUTTERSTOCK

Lot na Rodos przywodzi na myśl i prawie urealnia mit o Ikarze. Warto tu podróżować za dnia, gdy słońce mocno świeci, a jego refleksom na niebie towarzyszą błyskające fale Morza Egejskiego. Wtedy ma się wrażenie, jakby człowiek leciał w krainę światła. A gdy samolot przed lądowaniem ostro skręca, to nie bardzo wiadomo, skąd dochodzą te cieszące oczy promienie, z góry czy z dołu... To przeżycie z gatunku mistyki.



Zlotu ptaka Rodos wywołuje różne skojarzenia. Niektórzy w kształcie wyspy dostrzegają grot iskrzącej się strzały lecącej w stronę Azji, inni patrząc z góry na wypływałe poacie, widzą rozciągniętą skórę jakiegoś zwierza. Przede wszystkim jednak jest to wyspa słońca, które tu świeci przez co najmniej 300 dni w roku, i dlatego zwą ją wyspą Heliosa. Nie ma tu

miejsca dla pesymizmu, nawet w listopadzie, nie dziwnego więc, że i wtedy ściągają tu turyści z „depresyjnych” zakątków świata.

URLOP Z HISTORIĄ

Ale nie tylko takie mitologiczno-filozoficzne refleksje towarzyszą człowiekowi, gdy ląduje na Rodos. Bo ta wyspa to przede wszystkim

**WIELKA TWIERDZA
WIELKIEGO MISTRZA**

Mury Pałacu Wielkiego Mistrza na Rodos do dziś wzbudzają zachwyty. Nic dziwnego – to jedna z najpotężniejszych twierdz w basenie Morza Śródziemnego.

historia, i to taka przez duże „H”. To jedno z tych miejsc na kuli ziemskiej, które niejako z góry były skazane na zapisanie się w dziejach narodów i świata, ponieważ strategiczne położenie geograficzne od zarania dziejów kusiło co silniejsze mocarstwa do agresji. A właśnie Dodekanez, najbardziej wysunięty na wschód archipelag Morza Śródziemnego (a nazwany tak z racji 12 wysp, bo *dodeka* to po grecku „dwanaście”, z tym że w rzeczywistości wysp jest znacznie więcej), stanowił od wieków cel wypraw. Przybywali tu Rzymianie, Bizantyjczycy, Genueńczycy, Wenecjanie, krzyżowcy czy Turcy, a wszyscy coś pozostawili po sobie: świątynie, kościoły, meczety.

Chcąc nie chcąc, wyspy Rodos nie mogły omijać epokowe wydarzenia, co już Homer nam przekazał, pisząc w „Iliadzie”, że w inwazji na Troję uczestniczyło m.in. „dziewięć okrętów walecznych mężów rodyjskich”, natomiast z wyspy Symi, o której dalej będzie mowa, „prowadził Nireus trzy jednakowe okręty”.

Na Rodos nie ma miejsca na nudę, bo gdy słońca i plaży mamy dość, to można uciec właśnie w historię. Co prawda od słońca całkiem się nie ucieknie, ale w cieniu zabytkowej zabudowy przeżyjemy prawie namacalną lekcję o fascynujących dziejach.

Komu marzą się łąskie greckie klimaty, niech wybierze inną wyspę, bo Rodos to nie Grecja



sensu stricte, choć oczywiście i tu gospodarze dbają, by goście zachłysłni się ich gościnnością, smakami i zwyczajami. Przede wszystkim jednak to wyspa kosmopolityczna, gdzie zderzają się, teraz na szczęście pokojowo, Wschód i Zachód. To wyspa świata – to najbardziej właściwe określenie jej przynależności.

MURY ZNÓW OBLĘŻONE

Przede wszystkim trzeba zobaczyć miasto Rodos i imponujące pozostałości potęgi zakonu joannitów, zwłaszcza górujący nad miastem Pałac Wielkiego Mistrza. W średniowieczu była to jedna z najbardziej umocnionych

twierdz. I dziś te ogromne, ponad 4-kilometrowe mury prawie przytłaczają, gdy się między nimi spaceruje. Świadczą o potędze zakonu, a zarazem „usprawiedliwiają” pokusy możliwych ówczesnego świata. Turcy wielokrotnie usiłowali podbić Rodos. To tutaj chronił się przed zemstą brata sułtan Dżem. Dopiero w 1522 r., za czasów Sulejmana Wspaniałego, flocie osmańskiej udało się pokonać te mury. Oblężenie trwało aż 144 dni, dla porównania: potężna twierdza Belgrad padła po 34 dniach. Zdobycie wyspy zostało okupione życiem ok. 20 tys. sułtańskich żołnierzy. Turcy panowali tu przez cztery wieki, ale w tym czasie muzułmanie, żydzi i prawosławni żyli w zgodzie. Gdy wyspę zdobywają Włosi, żydów jest tu ok. 4 tys. Gdy przejmują ją Niemcy, wywozi się ich do Auschwitz. Po wojnie na Rodos wróci tylko 160.

Pałac Wielkiego Mistrza to forteca z blankowymi wieżami, a prowadzi



do niego ulica Rycerska, przy której pozostały do dziś zajazdy. Kawalerowie rodyjscy wywodziли się z różnych nacji, więc szanując odrębności narodowo-regionalne, pobudowano zajazdy dla: Prowansalczyków, Aragończyków, Kastyljczyków, Owerniaków, Francuzów, Anglików, Włochów i Niemców. Na krętych uliczkach i małych skwerach z egzotycznymi drzewami trudno jednak poczuć ducha średniowiecznego rycerstwa, bo teraz wyspę „najeżdżają” turyści, podobnie jak imponujący orientalny bazar, na którym handlarze oferują niestety głównie chińszczyznę. O tempora, o mores...

Ulica Rycerska łączy Pałac Wielkiego Mistrza z portem Mandraki. I tu następnym zachwyty. Co prawda, nie ma już posągu Kolosa Rodezyjskiego, jednego z 7 cudów

CZYM MORZE BOGATE...

Miecznik czy sola? Kalmary, krewetki czy małże? A może ośmiorniczka? Jakże bogata jest oferta tawern na wyspach Dodekanazu!



starożytnego świata, ale miejsce to urokliwe, a wejście do portu zdobią kolumny z daniem i łanią.

Komu będzie mało, pewnie zechce poznać Lindos – malownicze miasteczko z akropolem ku czci Ateny. Albo wzgórze Filerimo. Inni wybiorą Zatokę św. Pawła, gdzie dopłynął okręt apostoła, albo Zatokę Anthony'ego Quinn, by... zatańczyć „Zorbę”.

PERŁA PEŁNA GĄBEK

Sama Rodos dostarcza już tyle wrażeń, że człowiek czuje się nasycony. Ale miejscowi kuszą, by jeszcze wyprawić się promem, a po dwu i pół godzinie znaleźć się na Symi – ma-



LUDZIE MAJĄ RÓŻNE GĄBKİ

Inna gąbka do rąk, inna do kąpeli, jeszcze inna do zmywania. Na Symi można się w nie zaopatrzyć, ale i poznać historię tego towaru od wieków eksportowanego z wyspy.

O Rodos można by pisać i pisać, choć byliśmy tam tylko kilka dni. To wymarzone miejsce, by słońce racyło nas i na ciele, i na duchu. Ale czy może być inaczej, skoro wyspie sprzyjają bogowie? Helios zakochał się w Rodos, gdy wyłoniła się z fal po wielkiej powodzi, i od tego czasu wszyscy się nią zachwycają. Posejdon dba tu o krystaliczną czystość morza, Eol przysyła orzeźwiający chłodem wiatry (z czego cieszą się windsurferzy), a Dionizos, wiadomo – dobrego wina na wyspie nie brakuje.

lowniczej wysepce słynącej przede wszystkim z poławiaczy naturalnych gąbek. Kolorowe prospekty kuszą, a i rejs nęci przygodą. Jest jednak nieco monotony, bo w przeciwieństwie do innych promów tu Grecy nie umilają podróży dźwiękami lokalnej muzyki. No, ale już sam pobyt na Symi wynagradza wcześniejszy niedostatek. Bo Symi, śmiem twierdzić, przewyższa kolorytem wszelkie inne wyspy Hellady, może poza Santorini. To istna perła Dodekanazu.



Ten koloryt uwidacznia się zachwyconym oczom, gdy wpływamy do głęboko wciętej zatoki portu, gdzie otaczają nas bajkowe, barwne elewacje kamienic. To piętrowe domy, które wybudowali zamożni kapitanowie, zajmujący się kiedyś połowem i sprzedają gąbek za granicę. Domy z neoklasycystycznymi fasadami i trójkątnymi frontonami, w pastelowych, najczęściej żółtych kolorach, z pomarańczowymi dachami. Wierzyć się nie chce, że na takim skrawku ziemi, gdzieś między

Grecją a Turcją, jest takie kolorowe miejsce, jakby z obrazka akwarelisty. Uczta dla oczu, ale zmysły pobudzają także smaki, zapachy oraz niespieszne tętno życia tej zamkniętej, bo wyspiarskiej społeczności. Ludzi, co prawda, kultury i mentalności greckiej, ale i po trosze, z racji bliskiego (7 km) sąsiedztwa, także tureckiej.

Na wyspie mieszka dziś ok. 2,5 tys. osób, jedyna droga wiedzie z Symi do klasztoru Pantormitis, do którego można też dopłynąć.

PASTELOWA WYSPA

Gdy podpływamy do Symi, jawi się paleta pastelowych barw. To taka zaczarowana kraina, choć zarazem chyba najmniej grecka z greckich wysp.



KLASZTOR DOBRY NA WSZYSTKO

Do klasztoru św. Michała Archanioła przybywają nie tylko wierni. Również miłośnicy historii, sztuki i marynistyki, a także borykający się z problemami skórnymi. No i... smakosze lodów.

Miasteczko składa się z dwóch części. Ta wielokolorowa nadmorska to Yialos, a na górze – Chorio, po grecku „wioska”. Tej drugiej z dołu prawie nie widać, trzeba się wspinać do niej schodami, bo pierwsze zabudowania wzniesiono na Symi wysoko, ze względów strategicznych. Droga w górę to Kali Strada, 500 stopni schodów, ale wielu się wspina, chociażby do połowy, gdzie z tarasu widokowego można zrobić zdjęcia urokliwej zatoki. Trzeba uważać, by wybrać właściwe schody, bo są i takie, które

prowadzą do domostw, i przypadkiem można wejść komuś do kuchni.

Dwie części miasta funkcjonują prawie oddzielnie, bo są dwie szkoły, dwa kościoły, dwie apteki – na dole i wysoko. Nie ma niestety szpitala, więc trzeba płynąć na Rodos, 40 km. W sytuacjach wyjątkowych wzywa się łódź wyposażoną w sprzęt specjalistyczny – taki szpital na wodzie, a gdy to nie wystarczy, chorego zabiera helikopter. Nie bacząc na te uprzykrzenia, w ostatnich latach osiedlają się tu



FOT. JERZY MACHURA

zauroczeni Anglicy, Włosi i Niemcy. A życie nie jest łatwe. Problemem, zwłaszcza w głębi wyspy, jest niedostatek wody, podobnie jest z elektrycznością, którą przesyła się kablami pod wodą z Rodos. Mimo to wielu woli mieszkać tam niż na wybrzeżu, gdzie turyści, tłok i zgiełk. Faktem jednak jest, że Symi ma dziś 10 razy mniej mieszkańców niż pod koniec XIX w. To głównie efekt kryzysu, jaki dotknął dziedzinę, z których żyli mieszkańcy Symi – poławianie gąbek i budowę łodzi rybackich. Aż do końca XIX w. budowano tu szybkie łodzie, których Turcy używali do przewozu poczty. Jednak na nadmorskim bulwarze, oprócz tawern i sklepów jubilerskich, nadal spotykamy liczne stoiska z gąbkami.

W powietrzu czuć zapachy Południa: szaławii, lawendy, oregano, bazylii, tymianku. To ze straganów z przyprawami – aromatycznymi ziołami zebranych na wyspie, ale i ziołową viagrą, jak zapewnia turystów sklepikarz, który wręcza ją... paniom „na próbę”.

POD SKRZYDŁAMI ARCHANIOŁA

I znów płyniemy promem, ale to jeszcze nie powrót na Rodos. Po godzinnym rejsie wschodnim wybrzeżem na południe trafiamy do największego miejsca pielgrzymkowego w tym archipelagu, do klasztoru św. Michała Archanioła, patrona żeglarzy.

Biało-pomarańczowe zabudowania monastynu imponują już z daleka, gdy podpływamy do portu Panormitis, zwłaszcza górująca dzwonnica (dzwon z 1912 r.), ponoć najwyższa barokowa wieża na świecie. Okazały klasztor wzniesiono w 1783 r., ale pierwszy kościół był tu już ok. 450 r. – wybudowany na gruzach świątyni ku czci Apollina.

W klasztorze żyje ok. 30 mnichów, którzy każdego dnia goszczą rzesze turystów i pielgrzymów, zwłaszcza 8 listopada, w dzień św. Michała, uznawany za święto marynarzy i rybaków. Z gościny klasztoru korzystają też młodzi biznesmeni, by tu, w mnisich kwaterach, uciec od zgiełku miast i zregenerować psychikę.

Monastyr zainteresuje też miłośników sztuki, bo to kompleks w stylu weneckim, z drewnianym ołtarzem, z freskami i malowidłami typowymi dla obrządku wschodniego, bogato zdobionymi żyrandolami i lichtarzami. Największe zainteresowanie budzi dwumetrowa ikona Michała Archanioła, pokryta srebrnymi i złotymi listkami oraz biżuterią. Znajduje się ona w kościele, do którego wchodzi się z wewnętrznego dziedzińca monastynu. Uwagę zwracają także mozaiki ułożone z czarnych i białych kamyków, „oszlifowanych” przez morze.

Miłośników marynistyki zachęci zapewne oferta muzeum, gdzie oprócz różnych modeli i części statków można zobaczyć pamiątki przywiezione przez ludzi morza z dalekich krajów, okazy przyrodnicze oraz zbiory etnograficzne.

Michał Archanioł przyciąga do klasztoru z jeszcze jednego względu. Wśród dewocjonaliów, jakie nabywają pielgrzymi i turyści, dużym wzięciem cieszy się olejek sprzedawany w małych flakonikach, który – jak zapewniają miejscowi – pomaga zwalczać problemy skórne i poprawia porost włosów. Nie mniejszym wzięciem jednak, już na zewnątrz monastynu, cieszą się lody, ponoć przyrządzane wedle zakonnych receptur.

Wracamy na Rodos i znów wpadamy w objęcia Heliosa. Otacza nas zewsząd światło Hellady, którym fascynował się nasz poeta i eseista Zbigniew Herbert, a także amerykański prozaik Henry Miller. Jeśli ktoś się naczytał tych opisów, to tu właśnie dotknie prawdy. ○



Jerzy Machura

Z wykształcenia prawnik. Przez wiele lat był dziennikarzem sportowym, realizując zarazem marzenia o podróżach. Interesuje się historią i kulturą Czarnej Afryki oraz basenu Morza Śródziemnego, zwłaszcza Bałkanów, które zjeździł wzdłuż i wszerz. Pisze także o urokach przyrody.



FOT. ARNOLD PÖSCHL

Austria

NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady



FOT. GONPHOTOS - SHUTTERSTOCK

Szwecja



FOT. LOG667 - SHUTTERSTOCK

Włochy





Miła lekcja historii

Szwecja Tanumshede

codzienne, zajęcia i rytuały ówczesnych mieszkańców Szwecji. Choć wielu archeologów było przeciw, rytzy zostały pomalowane na czerwono, by ułatwić turystom oglądanie i rozpoznawanie przedstawionych figur. Jest to niewątpliwie niesamowita i inspirująca lekcja historii w otoczeniu pięknych, skandynawskich widoków. W Tanumshede należy także odwiedzić Vitlycke Museum, w którym można zobaczyć inne znaleziska archeologiczne ze wspomnianej epoki i bliżej poznać ich znaczenie.

Gmina Tanum, znajdująca się w zachodniej Szwecji (w historycznej prowincji Bohuslän), słynie z zespołu blisko 3 tys. petroglifów z nordyckiej epoki brązu (ok. 1800–600 p.n.e.) rozmieszczonych w stu

grupach. W miejscowości Tanumshede znajduje się największa w Skandynawii płaska skała zwana Vitlycke, na której powierzchni jest mnóstwo naskalnych rytów przedstawiających życie



58°43'N 11°19'E

Niecałe 2 godz. drogi na północ od Göteborga (ok. 140 km).

Austria Klagenfurt am Wörthersee

Miasto w naturze

Klagenfurt am Wörthersee ma wiele do zaoferowania odwiedzającym. Jest to jeden z najaktywniejszych ośrodków życia kulturalnego w Karyntii, który bardzo szybko rozwija się turystycznie. Leży wśród górskiego krajobrazu nad malowniczym jeziorem Wörthersee, którego wody są przejrzyste czyste (tak bardzo, że woda jest podobno zdatna do picia). To także jedno z najcieplejszych jezior alpejskich, co tym bardziej zachęca do kąpieli i uprawiania sportów wodnych.

W samym mieście można podziwiać renesansowe kamieniczki z dziedzińcami i ogródkami, usytuowane na charakterystycznych dla miejskiej architektury austriackiej, wąskich uliczkach. Na każdym kroku można się natknąć na kawiarnie i restauracje serwujące typowe austriackie smakołyki. Jest też barokowa katedra św. św. Piotra i Pawła (poświęcona w 1581 r. jako protestancka). Warto obejrzeć usytuowaną w samym centrum fontannę Lindwurmbrunnen z kamiennym

smokiem – symbolem miasta – oraz wojownikiem, który według legendy uwolnił miasto od łuskowatej, porywającej jagnięta bestii. Znajdziemy tu także wiele innych rzeźb, w tym posąg Marii Teresy z 1764 r. oraz marmurowy posąg Bernharda von Spanheim – założyciela miasta.

Z uwagi na łańcuch górski Karawanki otaczający Klagenfurt am Wörthersee jest to idealne miejsce do aktywnego wypoczynku nie tylko nad jeziorem, ale także na dobrze przygotowanych stokach narciarskich lub malowniczych trasach pieszych i rowerowych. www.visitklagenfurt.at



46°37'N 14°18'E

Dojazd autostradą A1 lub samolotem do słoweńskiej Lublany oddalonej od Klagenfurtu o 86 km drogi samochodem.

FOT. BERNOT QUEISS



AUTOR: WITOLD CHRZANOWSKI, WP TURYSTYKA

W XIX w. na mapie naszego kontynentu, choć nie było na niej Polski, znajdowało się dwa razy więcej państw niż obecnie. Na obszar obecnych Niemiec i Włoch składały się liczne większe i mniejsze organizmy państwowe. Na Półwyspie Apenińskim były wśród nich: Królestwo Sardynii, Królestwo Obojga Sycylii, Państwo Kościelne, Wielkie Księstwo Toskanii, Księstwo Parmy oraz Księstwo Modeny. Jeszcze bardziej rozdrobnione były Niemcy. Na obszarze obecnej RFN znajdowało się około trzydziestu struktur państwowych. Te największe i najbardziej znaczące to: Królestwo Prus, Królestwo Hanoweru, Królestwo Bawarii, Królestwo Saksonii, Wielkie Księstwo Badenii, Wielkie Księstwo Meklemburgii-Schwerin i Wielkie Księstwo Hesji.

Królestwo Sardynii

Tu podróżny zmierzał do Turynu. W stołecznej metropolii mógł zobaczyć m.in. XV-wieczną katedrę, pałac królewski oraz, przede wszystkim, słynne w całym świecie Muzeum Egipskie, które powstało w 1824 r. Największy archeolog owych czasów, Jean-François Champollion, tak podkreślił wagę tej placówki: „Droga do Memfis i Teb wiedzie przez Turyn”.



45°04'N 07°41'E

Na plac San Carlo można dojechać tramwajem linii 4, 7 lub 15.

Państwo Kościelne

Odwiedzając to środkowowłoskie państwo, rządzone przez papieża, podróżnik kierował kroki przede wszystkim (o ile nie wyłącznie) do Rzymu. Papieska stolica przyciągała gości ogromem i różnorodnością zabytków – zarówno tych starożytnych (jak np. Koloseum), jak i tych późniejszych – znajdujących się zwłaszcza w Watykanie – na czele z bazyliką św. Piotra.



41°54'N 12°27'E

Słynna Via Conciliazione (ul. Pojednania), prowadzi do placu św. Piotra otoczonego ogromną czterorzędowną kolumnadą Berniniego.

Królestwo Obojga Sycylii

Neapol – stolica tego państwa – jest od średniowiecza jednym z najważniejszych ośrodków kultury europejskiej. To tu znajduje się Uniwersytet Fryderyka II, najstarsza, powstała w 1224 r., uczelnia publiczna na świecie. Uwagę turystów przykuwają także: XII-wieczny zamek oraz liczne zabytkowe kościoły, w tym zwłaszcza gotycka katedra z kaplicą św. Januarego.



40°51'N 14°15'E

Do kaplicy św. Januarego można dojść na piechotę od stacji kolejowej i z piazza Garibaldi.



Wielkie Księstwo Toskanii

To państwo przyciągało turystów niczym magnes. Działo się tak dzięki Florencji, miastu, które, jeśli nie liczyć Rzymu, było i jest największą skarbnicą zabytków w całej Europie. To tu znajduje się najslynniejsza na naszym kontynencie galeria malarstwa – Galeria Uffizi. Na wyliczenie pozostałych godnych zwiedzenia miejsc trudno się silić. Niektóre z nich to: pałac Medyceuszy, katedra Matki Bożej Kwietnej i dzwonnica Giotto.

 43°46'N 11°15'E


Autobusy kursujące do katedry Matki Bożej Kwietnej to C1 i C2.



FOT. SHUTTERSTOCK

Królestwo Prus

W Poczdamie znajduje się urokliwy rokokowy pałac władców Prus Sanssouci, wpisany w 1990 r. na listę UNESCO. W Berlinie trzeba zwiedzić Muzeum Pergamońskie, powstałe w 1910 r., które gromadzi unikatowe zbiory sztuki starożytnej.


 52°23'N 13°04'E Do Poczdamu najlepiej dojechać pociągiem kursującym z Berlina. Miasto znajduje się w strefie C, dlatego jeżeli podróżujemy z centrum stolicy Niemiec, najlepiej kupić całodobowy bilet ABC.



FOT. THANAKORNP - SHUTTERSTOCK

Królestwo Bawarii

Ta największa po Prusach monarchia w Niemczech przyciągała zwłaszcza romantyczne natury. To tu znajdują się cztery bajkowe zamki króla Ludwika II: Neuschwanstein, Herrenchiemsee, Linderhof oraz Schachen. Zwłaszcza pierwszy z nich przyciąga od lat liczne rzesze gości. Neuschwanstein odwiedza rocznie około 1,3 mln turystów. I tak jest od 1886 r., gdy zakończono jego budowę.

 48°47'N 11°30'E

Do zamku nie można dojechać bezpośrednio samochodem. W wiosce Hohenschwangau znajduje się duży parking dla gości.



FOT. SHUTTERSTOCK



KAWA KWITNIE TRZY DNI

Elżbieta i Piotr Hajduk



PHOTO: SHUTTERSTOCK

Salento to urocze kolumbijskie miasteczko, zagubione w andyjskiej dolinie wśród wysokich gór. Małe domki, pamiętające czasy kolonialne, ulokowały się wzdłuż wąskich, stromych uliczek. Starannie pomalowane, są ozdobione kolorowymi okiennicami. Miejscowość nie narzeka na brak gości. Nic dziwnego, leży w środku słynnej Zona Cafetera, enklawy zajmującej się uprawą i produkcją najlepszej kawy na świecie.

Przyjezdni chętnie odwiedzają ten piękny zakątek. Dla nich powstała obszerna baza noclegowa oraz liczne knajpki. Kwater jest dużo. Prawie każdy chętnie gości turystów pod swoim dachem. Standard pokoi jest różny, podobnie jak ceny – od bardzo wysokich do wręcz symbolicznych. Zdarza się, że gospodarze traktują przybyszów jak rodzinę i udzielają schronienia bezpłatnie – w zamian za opowieści ze świata.

Pokój trzyosobowy z łazienką? Nie ma problemu. Jest pokój i jest łazienka, tyle że położona z drugiej strony domu. Wejście – od salonu właścicieli. Ale komu to przeszkadza? Pętający się po obejściu turyści to dla miejscowych radość i powód do dumy. Przyjeżdżają, znaczy podoba im się. Gospodarze zrobią herbatę, poczęstują ciastem, pokażą najlepszy punkt widokowy w mieście i pozwolą korzystać ze swojej

kuchni. „Tylko przyjedź do nas jeszcze, no i zachęć innych!”.

SALENTO OD KUCHNI

Główną uliczkę miasta zajmują prawie same sklepiki z pamiątkami. Tutaj toczy się niespiesznie miejscowy biznes i każdy ma własny sposób na zarobek. Starsi mężczyźni z gitarami przysiedli na ławeczce, przygrywając tęskne hiszpańskie serenady. Obok, na chodniku, młody chłopak sprzedaje własnoręcznie uplecione bransoletki. Nieduże zbiegowisko na rogu wskazuje na możliwość szybkiego zaspokojenia głodu: drobna kobieta sprzedaje własnoręcznie upieczone *empanadas*. To rodzaj pierożków smażonych w głębokim oleju, nadziewanych różnymi przysmakami – w środku najczęściej znajduje się mięso lub ser, czasem warzywa czy ugotowane na twardo jajko.

Konkurencja jest nieduża – narożna knajpka, w której można zjeść późne śniadanie. Posiłek znacznie różni się od naszego. Kto jest przyzwyczajony do kanapki czy słodkich rogalików, będzie musiał zmienić upodobania. Na talerzu piętrzy się bowiem kupka ryżu obok suchej, wysmażonej jajecznicy o dziwnym smaku i kolorze. Leciwa kucharka mówi, że to *contomates*. Kuchnia i jadalnia mieszczą się w jednym pomieszczeniu. Miejsca dla gości są oddzielone tylko niską balustradką. Dzięki temu można obserwować, co trafia na ich talerz. Do owej jajecznicy z pomidorami jest dokładana *arepa*, czyli rodzaj grubego, twardego naleśnika upieczonego z mąki kukurydzianej. Kolumbijczycy jedzą ją zresztą do wszystkiego, tak jak my chleb. Potrawę można

zapić wyciskany na miejscu sokiem z trzciny cukrowej.

Uliczka kończy się kwadratowym ryneczkiem z małym skwerem na środku i kościołem ozdobionym wysoką wieżą. Stąd odjeżdżają dżipy pamiętające niekiedy lata pięćdziesiąte i stacjonujących tu jankeskich żołnierzy. Miejscowi farmerzy przewożą tymi pojazdami worki z kawą i inne zbiory. Niestraszna im żadna droga, więc są nazywane „mechanicznymi mułami”. Na kolumbijskich szutrowych drogach wiekowe auta odnalazły drugą młodość. Czasem służą jako taksówki, bo z racji sporych rozmiarów są idealne do przewozu turystów.

Przejażdżka takim starym willisem to ekstremalna atrakcja. Każdego ranka wypełnione ludźmi i pakunkami auta szaleją na zakrętach w drodze do Valle de Cocora, oddalonej 10 km od miasteczka. To w tej dolinie można zobaczyć słynne kolumbijskie palmy, osiągające imponującą wysokość 60 m.

DOLINA WOSKOWYCH PALM

Dolina słynie z pięknych krajobrazów i palm woskowych, które upodobały sobie to miejsce.

AMERICAN DREAM

Stare amerykańskie terenówki odnalazły w tej części Kolumbii drugą młodość. Doskonale nadają się do jazdy po szutrowych, wyboistych drogach.



FOT. ELZBETA / PROTR-HALDUK

ICH WYSOKOŚCI

Te dostojne drzewa, z których słynie Valle de Cocora, są uznawane za narodowy skarb. Woskowe palmy osiągnęły 60 m wysokości!



FOT. ELZBETA I PROT. HAJDUK

NIE SAMĄ KAWĄ FARMER ŻYJE

Jej uprawa to główne, ale nie jedyne zajęcie miejscowych farmerów. Zajmują się oni także hodowlą koni, krów, świń i drobiu. Na zdjęciu piękny kogut z jednej z kolumbijskich *fincas*.



FOT. ELZBETA I PROT. HAJDUK

okoliczne wzgórza i wspaniała, bujna roślinność.

Kto ma siłę, może nadłóżyć kilometr i odwiedzić Casa de los Colibris, prywatne gospodarstwo słynące z tych pięknych ptaków. Malutkie kolibry latają wśród zielonych krzaczków jak kolorowe klejnoty. Ich piórka błyszczą w słońcu, mieniąc się odcieniami zieleni, fioletu, turkus. Ptaszki trzepoczą skrzydełkami, zawisając nieruchomo

NIECH DOJRZEJĄ

Tylko czerwone, dojrzałe owoce kawy trafiają do koszy zbieraczy. Zielone pozostają na krzaku i czekają na swoją kolej. Mogłyby zepsuć smak napoju...

Mgły pomiędzy wyniosłymi pniami bawią się z wiatrem w chowanego. Kapryśne płomyki słońca przebijają od niechcenia niski pułap chmur, oświetlając zielone łąki wykorzystywane jako pastwiska.

W głąb prowadzi piaszczysta droga, po deszczach trudno dostępna nawet dla zdeterminowanych piechurów. Łaciate krowy ze spokojem przyglądają się obcym. Leniwi mogą wypożyczyć konia i podziwiać okolice z jego grzbietu. Ścieżka miejscami robi się wymagająca, pnie się w górę wąskim, kamiennym szlakiem. Przekracza wartkie strumyki po drewnianych, chybotliwych mostkach, gubi się w błocie lasu deszczowego. Trud wędrówki wynagradzają rozległe widoki na

w powietrzu, po czym znowu zrywają się do lotu. Przywabiają je gęsto poustawiane poidełka z wodą słodzoną cukrem. Turyści także mogą się tu posilić. Do wyboru są różne napoje, od zimnej coli po gorącą czekoladę, podawane z grubym plastrem tradycyjnego sera. Wielbiciele procentów mogą spróbować *chicha de piña*, lekkiego napoju alkoholowego produkowanego z ananasów.

Aby powrócić na szlak, trzeba cofnąć się do ostatniego, siódmego mostka, czyli kilku desek niedbale przerzuconych przez rzekę. Trasa odbija stromo pod górę, aby po niecałej godzinie wędrówki doprowadzić na szczyt wzgórza. Stąd wiedzie szeroki trakt, który sprowadza z powrotem do szosy. Z drogi



FOT. ELZBIETA I POTR HAŁDUK

ZIELONE WZGÓRZA NAD DOLINĄ

Łagodne wzniesienia są pokryte bujną, tropikalną roślinnością. W oddali wznoszą się wysokie zbocza Andów, które zatrzymują wiatry znad oceanu. To dlatego w dolinie panuje korzystna dla kawy wieczna wilgoć.

rozciągają się przepiękne widoki na leżącą poniżej dolinę. Zaskakuje widok pióropuszy palm, dostępnych niemalże na wyciągnięcie ręki. Ich pnie wyrastają kilkadziesiąt metrów niżej, ale nie zawsze są widoczne, ponieważ dolinę często zasnuwa mgła. Wówczas postrzępione liście koron kołyszą się na tle nieba, jakby zawieszane w powietrzu.

Na powracających z wycieczki czekają dżipy, gotowe zawieźć gości z powrotem do Salento lub... do którejś z rozlicznych kawowych farm.

Felipe lubi takie wizyty. A o kawie może opowiadać godzinami.

Równe rzędy zielonych krzaczków porastają okoliczne wzgórza, dojrzewając w gorącym słońcu. Miejscowy klimat jest wprost wymarzony do uprawy kawowca, który ma określone wymagania. Najlepiej rośnie na żyznych, powulkanicznych glebach, w ciepłym wilgotnym klimacie i na wysokości około

SŁODKI PTASZEK

Jedną z turystycznych atrakcji okolicy jest gospodarstwo zajmujące się kolibrami. Ptaki są przywabiane dzięki gęsto poustawianym poidłkom z wodą słodzoną cukrem (na zdjęciu).

DEGUSTACJA PROSTO Z KRZAKA

Dla Felipe kawa jest całym życiem. Tajników jej uprawy nauczył się od ojca, który żył wyłącznie ze sprzedaży brązowych ziarenek. Dzisiaj luki w budżecie farmerów wypełniają też wpływy z turystyki. Przyjezdni chętnie odwiedzają plantacje rozsiane wokół miasteczka.



FOT. ELZBIETA I POTR HAŁDUK

tysiąca metrów. Okolice Salento spełniają wszystkie te wymogi, stąd tak wiele kawowych farm, zwanych tutaj *fincas*. Większość z nich za opłatą można zwiedzać.

Biała hacjenda Felipe jest pokryta spadzistym, czerwonym dachem i ozdobiona sporym gankiem pomalowanym na zielono. Na plantację prowadzi wąska piaszczysta ścieżka. Pierwsze krzaczki rosną tuż za domem i są pokryte pięknymi, białymi kwiatami. – *Kawa kwitnie tylko przez trzy dni* – mówi z uśmiechem Felipe. – *Potem kwiaty obumierają, a na ich miejscu wyrasta owoc.*

Kolejne rośliny są już obsypane zielono-czerwonymi jagodami zebranych w nieduże grona. Na tutejszej farmie każdy owoc kawy jest zbierany ręcznie. Tylko tak można wybrać wyłącznie czerwone, dojrzałe owoce; jeszcze zielone pozostają na krzaku i czekają na swoją kolej. Mogłyby zepsuć smak kawy...

Podczas mycia następuje wstępna selekcja ziaren. Te pierwszego gatunku opadają na dno, drugiego – zostają u góry. Następnie należy wyłuskać twarde, białe ziarenka, aby potem je wysuszyć. Na farmach stosuje się w tym celu specjalne maszynki, niektóre z wielkim kołem zębatym przypominającym średniowieczne narzędzie tortur. Tutaj suszenie odbywa się na przewiewnym dachu wielkiej szopy i trwa kilkadziesiąt godzin. Jeszcze tylko ponowna selekcja i już. Wypełnione ziarnami worki można pakować do džipów.

Większość kolumbijskich *fincas* sprzedaje kawę w takiej właśnie postaci, chociaż nie nadaje się jeszcze do spożycia. Konieczne jest prażenie, które trwa od ośmiu do dwunastu minut. To właśnie podczas tego procesu ziarna stają się brązowe i uzyskują swój niepowtarzalny aromat.

Felipe część swoich zbiorów praży samodzielnie. Służą do degustacji oraz oczywiście dla gości, jako oryginalna pamiątka z wizyty na farmie. Pięknie zapakowane w firmowe worki, osiągają dużo lepsze ceny niż w skupie.

Na zakończenie opowieści o kawie odbywa się uroczysty poczęstunek – w cieniu rozłożystych bananowców. María, żona właściciela, podaje filiżanki z gorącym, czarnym napojem. Trzeba przyznać, że kawa jest doskonała. Uwodzi cierpkim aromatem, wyrazistym smakiem z delikatną nutą goryczy.



FOT. ELŻBIETA PIOTR HAJDUK

PROSTO OD KROWY

W obrębie Parku Narodowego Los Nevados znajdują się bogate w trawę pastwiska. Mleko jest zwożone z górskich terenów do szosy transportem konnym.

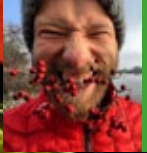
Farmer przygląda się z uśmiechem. On takiej nie lubi. Jak większość Kolumbijczyków preferuje *café tinto*, lekką, krótko paloną i zawierającą najwięcej kofeiny. Im dłużej kawa jest palona, tym ciemniejszy kolor i mocniejszy aromat mają jej ziarenka i... tym więcej można jej wypić. Prażenie prowadzi do zmniejszenia zawartości alkaloidu.

Ciekawe, że kawa *tinto* jest przyrządzana z odpadów. Na wewnętrznym rynku zostają bowiem przeważnie ziarna gorszej jakości. Te dobre są przeznaczane na eksport. Dlatego m.in. kolumbijska kawa jest uznawana za najlepszą w świecie. ○



Elżbieta i Piotr Hajduk

Ona historyk, humanista.
On inżynier, umysł ścisły.
Zjeździli razem pół globu.
On w podróży szuka mocnych wrażeń, ona – urody świata.
I każde znajduje to, co lubi.
Wspólnie z córką Kasią napisali książkę o podróży po Afryce „Dalej są tylko lwy”.



PUSZCZA Z LEŚNICZYM

FOT. ŁUKASZ DŁUGOWSKI

Przez 28 lat, kiedy mieszkałem w Poznaniu, ani razu nie eksplorowałem Puszczy Zielonka. Nie jeździłem na rowerze, nie wędrowałem, nie zwiedzałem słynnych drewnianych kościołów. Dopiero teraz, z perspektywy Warszawy, widzę, jak wiele straciłem.

Jeśli spojrzeć na mapę, to jedyna tak duża plama zieleni w pobliżu Poznania. To cud, że Zielonka w ogóle istnieje: 12 000 ha zieleni nie miało prawa się uchować. W jej miejscu powinny być pola żółtego zboża i czerwone dachy wsi. Są lasy, jeziora i rzeki. Podobno księżętom gnieźnieńskim i poznańskim zależało na zachowaniu takiej dzicy. Gęsta puszcza oznaczała spokój na granicach księstw – nie musieli się martwić, że stamtąd nadejdzie atak. Dzisiaj z pierwotnej puszczy nic nie zostało, ale nadal kryją się w niej niesamowite miejsca. I nie chodzi o wymieniane

w przewodnikach rezerwatów: Żywiec-Dziwiężniolny, Klasztorne Modrzewie czy jezioro Pławno, ale o miejsca nieoczywiste, znane tylko komuś, kto pasjonuje się tym lasem. Znajomy polecił mi Bartosza Perza, zastępcę nadleśniczego Nadleśnictwa Łopuchówko, zakochanego w puszczy.

– Kiedyś leśniczy zabrał mnie tutaj na wycinkę i stanąłem jak wryty. Wydusiłem z siebie tylko krótkie „wow!”. Chodziłem od drzewa do drzewa i liczyłem. Doszedłem do 27 gatunków na 10 ha, co jest absolutnie niesamowite, bo w polskich lasach najczęściej można spotkać siedem – opowiada Bartosz.

Stoją do dzisiaj: jodła kaukaska i kalifornijska, dagleźja zielona, świerk sztywny i sitajski, dąb czerwony, przeorzech gorzki i inne. Bartosz pokazuje mi dagleźję: prosta jak drut, na 40 m strzela w niebo. W Ameryce Północnej, skąd pochodzi, najlepsze okazy sięgają setki. Leśnik zbiera z ziemi orzeszki wielkości piłki golfowej, mówi, że to przysmak dzików. Te owoce spadają z orzesznika siedmiolistkowego.

Tak duża różnorodność drzew to zasługa jednego z leśniczych, Justusa Motzfeldta, który zarządzał Zielonką pod koniec XIX w., za czasów zaboru pruskiego. Prowadził wiele doświadczeń, sprawdzał,

jak na tych ziemiach zachowują się gatunki sprowadzone z zagranicy, jak najlepiej sadzić drzewa, żeby dobrze rosły.

– Kolega znalazł w lesie kręgi buków otaczających dęby. Takich zgrupowań drzew było wiele, ale nie miał pojęcia, czemu służą. Dopiero czytając artykuły Motzfeldta, dowiedzieliśmy się, że to były eksperymentalne nasadzenia.

Pierwszego roku sadzili dąb, pozwalali mu podrosnąć, a rok później dookoła sadzili buki, które zapewniały mu cień pod koroną. Dzięki temu dąb rósł zdrowy i mocny. Metoda, którą wymyślono w XIX w., jest tak doskonała, że leśnicy stosują ją do dziś.

Podobno żona Motzfeldta urządziła koncerty w lesie. Na wzgórzu kazała zbudować platformę i letnisko wieczorami ustawiała na niej muzyków smyczkowych. Rzeczką poniżej sunęły łódeczki ze świecami. Tak się bawiła pruska elita. – *Widok na jezioro i rzeczkę jest niesamowity. Gdybym miał zbudować dom w lesie, na pewno zrobiłbym to na tym wzgórzu. Któregoś dnia przytargałem tutaj łóżko polowe, rozłożyłem je i zostałem na noc.* Bartosz nie chce zdradzić, gdzie jesteście. – *Boję się, że jeżeli ujawnię nazwę, zjadą się tysiące ludzi i zniszczą to miejsce. Zabiorę cię nad Jezioro Leśne i pokażę ci, o co mi chodzi.*

Północno-wschodni brzeg Jeziora Leśnego został wynajęty kołu wędkarskiemu z fabryki mebli w Swarzędzu. Przeciwległy brzeg leśnicy starają się utrzymać dziki. Na drugim, użytkowanym przez wędkarzy, stoi wagon kolejowy, betonowe schody i takie płyty, którymi wyłożyli podmokły teren. Widać też wykopane we wzniesieniu miejsca parkingowe, nasypy, rozpadające się pomosty. Zero szacunku dla otoczenia. – *I tak jest nieźle. Dopóki nie zaczęliśmy ich cisnąć, był tu straszny bałagan, masa śmieci, teraz przynajmniej jest czysto.*

Wracamy na drugą stronę, Bartosz chce mi pokazać miejsca, gdzie żyją bobry.

– *Bobry ścinają drzewa, budują tamy i żeremia i podnoszą poziom wody. Może się zdarzyć tak, że za kilkanaście lat woda podniesie się na tyle, że rzeczka zamieni się w jezioro, które połączy się z Jeziorem Leśnym i pobliskim stawem. Jak spojrzeć na mapy satelitarne, można się domyślać, że kiedyś tak było, ale kanały irygacyjne osuszyły ten teren i z jednego jeziora zostały dwa mniejsze.*

Przy brzegu leży sporo drzew powalonych przez bobry. Dowiaduję się, czemu tak zapamiętałe je ścinają: bo żywią się pączkami, liśćmi i młodymi gałązkami. Żeby je zjeść, powalają stuletnie drzewo.

– *Z bobrami jest problem, bardzo się namnożyły, nie mają naturalnego wroga, ludzie nie polują na nie, bo są pod ochroną. Dochodzi do absurdalnych sytuacji, chodź, pokażę ci.* Bartosz ciągnie mnie do oczka wodnego wielkości kortu tenisowego. Jest wyschnięte. Pokazuje mi przewrócone drzewa i żeremie. – *Bobry, które mają trzy lata, muszą opuścić gniazdo rodziców i znaleźć swoje miejsce. Jeden znalazł to oczko, które było dla niego za małe, ale zagęszczenie gatunku w okolicy jest tak duże, że nie miał wyboru. Męczył się tutaj przez trzy lata, aż wody było tak mało, że w końcu musiał się wynieść.*

Bartosz prowadzi mnie kawałek dalej. Chce mi pokazać jedno z jego ulubionych drzew. Idziemy kawał drogi przez pokrzywy i krzaki. W końcu dochodzimy do starego grabu, wygląda jakby miał z 1000 lat. Częściowo obumarły, gałęzie poplątane, niektóre wyschnięte, powykręcane jak reumatyzmem. W kilku miejscach, gdzie wydawałoby się, że już nic nie wyrośnie, wystają młode gałązki. Drzewo babcia. Potem idziemy zobaczyć jeszcze sosnę, mówią na nią „mamuśka”. I jedziemy kilkanaście kilometrów, aby obejrzeć dąb. Stoi w żółtym polu, ogromny, rozłożysty, stary jak świat. Kiedy Bartosz przywiózł tu swoich znajomych, powiedzieli: „No co? Drzewo”, a on mógłby patrzeć się na nie godzinami.

Dla mnie ten las jest anonimowy, dla niego każdy odcinek coś znaczy. – *Tu 20 lat temu sprawdzałem, czy lepiej sadzić, czy wysiewać dęby. Teraz, po dwóch dekadach, powstał tu mały laszek. Okazało się, że lepiej siać, bo drzewo lepiej się ukorzenia* – opowiada mi, pokazując kolejny fragment lasu. Bartosz nie używa GPS-u. Ja bym się zgubił po kilku zakrętach, on wie dokładnie, gdzie jest. Jakby czytał las pomiędzy wierszami. Zatrzymuje samochód, żeby pokazać mi drzewo z dziuplą w kształcie serca. – *Przez jakiś czas gniazdo miała w niej sowa, puszczyk. Za każdym razem, kiedy tędy przejeżdżałem, krótko trąbiłem, a one wychylały się z dziupli.*

Kiedy spacerujemy, zatrzymuje się przy norze. Pyta, czy wiem, po czym poznać, że to nora borsuka, a nie lisa. – *Borsuk jest czystoszkkiem. Toaletę ma w pewnej*

odległości, a przy dziurze nie znajdziesz żadnych śmieci. Lis to bałaganiarz, wokół jego nory zawsze są jakieś obgryzione kosterki i pióra zjedzonych ptaków – odpowiada sam sobie. Poza tym borsucze nory mają kilka otworów wejściowych, wokół są ślady włóczenia ściółki do nor i kilka kopców piasku u wylotu.

W drodze powrotnej do leśniczówki przejechaliśmy obok stada danieli. Piętnaście osobników z pięknymi łopatami. Byłem urzeczony, a Bartosz machnął ręką. – *Widziałem sto w jednym stadzie. W puszczy jest ich około tysiąca, za dużo. Przeskakują przez płoty, niszczą młodniki, drzewa nie mają szans się odrodzić i podrosnąć. Brak drapieżników, które mogłyby zmniejszyć ich populację. A poza tym to szkodnik, który nie jest właściwy dla tych terenów, został wprowadzony przez Rzymian z Azji Mniejszej.*

Inne zwierzęta? – *Raz widziałem łosia. Wielki, piękny, z ogromnymi łopatami. Ale od razu poczułem strach – co taki łos może zniszczyć? Dwa razy widziałem wilki, przypuszczam, że należały do watahy spod Obornik. Samce często odłączają się na lato i przychodzą tu na polowanie. Dla Poznania puszcza jest jak zielone płuca, dla wilków – jak lodówka z jedzeniem.* ◉

Ta mikrowyprawa ma na celu zachęcenie do eksplorowania Puszczy Zielonka. W normalnych warunkach nie można wynająć leśniczego do oprowadzania po puszczy, ale zdarza się, że organizacje ekologiczne oferują jej zwiedzanie. Najlepiej jednak samemu wybrać się w taką podróż.

Informacje praktyczne:

- Miejsce: Puszcza Zielonka.
- Czas: 3 h.
- Co zabrać: jedzenie, picie, lornetkę, worek na śmieci.
- Koszt: zależny od kosztu przewodnika.
- Poziom trudności: niski, dostępne przez cały rok.

Łukasz Długowski

Absolwent filozofii, podróżnik, dziennikarz. Autor książki „Mikrowyprawy w wielkim mieście”. Swoje przygody relacjonuje na Facebooku i Instagramie: Mikrowyprawy



BESTIA Z GÓR

Radosław Kozuszek



Na pierwszy rzut oka wygląda jak postać z horroru lub kosmiczny obcy, który nawiedził Ziemię. Ma przenikliwy wzrok, wampirze kły, psią twarz, lwią grzywę i gołą, krwistoczerwoną pierś. Mimo przerażającego wyglądu jest towarzyską wegetarianką, która wolne chwile spędza na... „plotkowaniu”. Aby spojrzeć w oczy bestii, musimy odwiedzić Etiopię lub Erytreę.

Dżelady brunatne (*Theropithecus gelada*), kiedyś łączone z makakami lub pawianami, dziś są jedynym przedstawicielem rodzaju *Theropithecus*. Z języka greckiego słowo *ther* oznacza bestię, a *pithecus* – małpę. W rzeczy samej wygląd dżelady wprowadza w konsternację. Sporej wielkości małpa z długim, zakończonym pędzlem ogonem, przerażającą twarzą i gołą, czerwoną pierś może budzić mieszane uczucia. Przed chłodem chroni dżelady gruba okrywa włosowa, a u samców gęsta grzywa. Dlatego są obok makaków japońskich jedynymi na świecie zimnolubnymi małpami. W związku ze znacznym zredukowaniem populacji wilków abisyńskich i lampartów, będących naturalnymi wrogami małp, dżelady w zasadzie obawiają się tylko ludzi. Wszystkie współcześnie żyjące zamieszkują niektóre góry na terenie Etiopii i Erytrei, a największe ich populacje zasiedlają góry Semien.

Innymi endemicznymi mieszkańcami Semien są koziorożce abisyńskie. Zamieszkują tylko najwyższe partie gór i dostojnie skaczą po półkach skalnych. Samce mają rogi dochodzące nawet do 1,4 m długości. Największym drapieżnikiem Semien są natomiast wilki abisyńskie zwane kaberu. To niewielkie i bardzo płochliwe zwierzęta o czerwonej sierści, białym podgardlu i nogach. Często poruszają



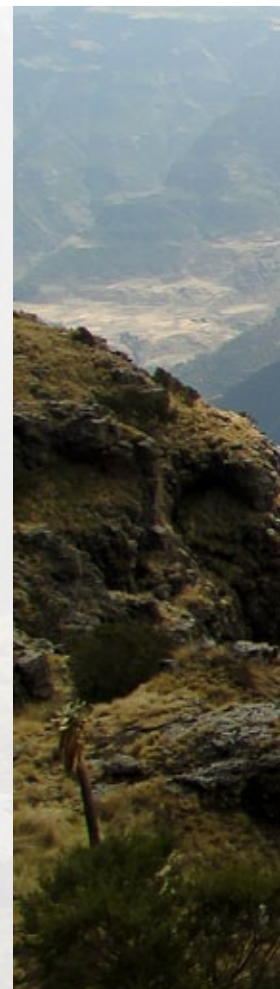
FOT. RADOSŁAW KOZŁEK

się w niewielkich grupach rodzinnych. Można pomylić je z popularnymi szakalami.

Blisko pół namiotowych gromadzą się sporej wielkości endemiczne biało-czarne kruki grubodziobe, które czekają na łatwą zdobycz w postaci odpadków. Są tak liczne, że zastaniemy je na każdym polu biwakowym. Z kolei podczas wysokogórskich wędrówek możemy podziwiać dostojne sępy. Najbardziej niesamowitym wrażeniem jest ich obserwacja ze szczytu Imet-Gogo, którego piętrowe ściany gwarantują rewelacyjny widok w dół. Tu krążące sępy oglądamy, patrząc pod nogi, a nie zadzierając głowę do góry.

ETIOPSKI ENDEMIT

Większość turystów przyjeżdżających do Semien pragnie zobaczyć żerujące dżelady. Małpy zamieszkują tylko najwyższe części gór i spotkać je można na wysokości od 2000 do 4000 m n.p.m., dlatego niezbędne jest zorganizowanie odpowiedniego transportu. W związku z bardzo niską temperaturą



występującą w nocy i nad ranem dżelady budzą się dość późno jak na dzikie zwierzęta i na pierwszy posiłek schodzą dopiero, gdy słońce ogrzeje łąki i zbocza gór. Z tego względu małpy można oglądać w zasadzie od godziny 9 rano do 17 po południu. Nie trzeba zatem zrywać się ze snu skoro świt jak wtedy, gdy chcemy obserwować inne zwierzęta. Po drodze wynajętym samochodem z Debarku, głównego miasta wypadowego w góry, pierwsze stada dżelad zobaczymy dopiero po około godzinnej jeździe. Tam, gdzie miejsce drzew zajmują krzewy i rozległe łąki, a rozrzedzone powietrze zawiera małe ilości tlenu.

W zasadzie każdy odwiedzający Semien jest w stanie zobaczyć małpy. Grup rodzinnych dżelad jest jeszcze sporo i bardzo lubią

żerować blisko dróg. Czasami zlewają się z kamieniami lub zaoranym polem, dlatego warto od czasu do czasu obserwować rzekomo puste łąki. Dżelady nie są przesadnie płochliwe i pozwalają podejść do swojego stada na odległość około 10 m. Jeżeli zaczniemy się zbliżać, będą bez pośpiechu odchodzić. Nigdy nie atakują turystów, którzy zanadto się zbliżyli. Po prostu odchodzą.

Podczas trzydniowego trekkingu w Semien trzy razy widzieliśmy spore stada dżelad. Pierwszą grupę rodzinną zobaczyliśmy zaraz po opuszczeniu auta, które podwiozło nas na szlak. Oczywiście małpy wypatrzył nasz przewodnik, który w pewnym momencie się zatrzymał. Gdyby nie on, minęlibyśmy pole, na którym żerowała grupa licząca kilkanaście

OSTATNIE SCHRONIENIE

Poszarpane szczyty, liczne doliny, źródła oraz rozległe łąki usytuowane na płaskowyżach. Tak wyglądają góry Semien – jedno z ostatnich miejsc, gdzie żyją dzikie dżelady.



osobników. Wydawało się, że nie robią sobie kompletnie nic z naszej obecności. Pozwoliły nawet podejść do siebie bliżej. Następnie, ciągle przeczesując trawę, przeszły przez wydeptaną ścieżkę i zniknęły za wzgórzem. Było to dla nas nie lada przeżycie i w zasadzie pierwszego dnia zobaczyliśmy to, po co przyjechaliśmy do Semien.

Drugiego i trzeciego dnia udało nam się jeszcze dwukrotnie zobaczyć dżelady. Turyści poznani na polu biwakowym odwiedzali Semien zaledwie przez jeden dzień. Wynajęli samochód w Debarku, opłacili wszystkie pozwolenia i powiedzieli kierowcy, że ich marzeniem jest zobaczyć dżelad. Kierowca zawiózł ich w kilka miejsc, aż w końcu udało im się

zobaczyć małpy. Można z tego wywnioskować, że dżelady przemierzają ściśle określone tereny w górach i zobaczymy je w miejscach, do których dojedziemy samochodem. Z opowieści wynikało, że przewodnik dobrze wiedział, gdzie ma jechać i gdzie można spotkać małpy. Taka jednodniowa wycieczka kosztowała 100 dolarów.

Etiopczycy rozumieją, że turyści przyjeżdżają do Semien właśnie po to, aby zobaczyć te niesamowite małpy, dlatego otaczają je szczególną opieką. Nie pozwalają, by ktokolwiek je płoszył, pilnują, aby turyści nie podchodzili zbyt blisko, oraz schodzą małpom z drogi, gdy te przemierzają urwiska. Jedynymi miejscami, skąd przepędza się te zwierzęta, są pola

OPCJA WEGE

Głównym pokarmem dżelad są żdźbła wysokogórskich traw i ziół.



uprawne oraz miejsca biwakowania. Lokalni przewodnicy, którzy oprowadzają grupy turystów, dbają nawet o to, by na polach biwakowych wszystkie śmieci znalazły się w zamkniętych pojemnikach. Przeczesujące teren małpy zjadają znalezione resztki, co może się odbić bardzo niekorzystnie na ich zdrowiu. Dżeladom pod żadnym pozorem nie można rzucić żadnego pożywienia. Jediną odpowiednią dla nich karmą są jałowe źdźbła traw, owady i zioła. Każdy pokarm charakteryzujący się większą kalorycznością bądź dużą zawartością węglowodanów wywołuje u zwierząt stan podobny do cukrzycy, mogący skończyć się śmiercią!

Nie zawsze dla dżelad los był tak łaskawy. Wcześniej stanowiły dla miejscowych źródło smacznego mięsa oraz odzienia, a ich skóry służyły jako okrycia wierzchnie na bardzo zimne noce. Ponadto grzywy samców były wykorzystywane przez wodzów licznych plemion górskich jako ozdoba. Polowanie na małpy nie było ani wyczerpujące, ani skomplikowane, bo na odkrytych polanach i stokach górskich stanowiły bardzo łatwy cel. Doprowadziło to do skrajnego wytrzebienia zwierząt, które przetrwały jedynie w najdalszych i najmniej dostępnych zakątkach etiopskich i erytrejskich gór.

WIECZORNE DŻELAD ROZMOWY

Dżelady zjadają w zasadzie wszystko to, co znajdują na wysokogórskich łąkach – trawę i zioła, nasiona, pąki kwiatowe, miękkie gałązki, bezkręgowce, a także bardzo sporadycznie małe gady i ptasie jaja. Małpy potrafią także rozpoznać rośliny, które mają jadalne korzenie i bulwy. Wydaje się, że najsmaczniejszym dla dżelad pokarmem są nasiona traw, których obfitość znajdują właśnie na wysokogórskich łąkach, a nie w zakrzaczonych dolinach. Ta słabość



do wysokowęglowodanowych ziaren bardzo często prowadzi małpy wprost na poletka uprawne, gdzie miejscowi sieją pszenicę i jęczmień. Małpy są notorycznie przeganiane przez ludzi, bo podczas jednego żerowania mogą zjeść i zdeptać całe poletko.

Dżelady zawsze żerują w grupie, wydają pochrząkiwania i piski – w ten sposób upewniają się, że wszystko jest w porządku i żadna nigdzie nie zabłądziła. Przeczesujące górskie łąki stado jest dość głośnie i przypomina trochę grupę ludzi pracujących na polu, którzy poruszają różne tematy. Podczas żerowania małpy są skupione raczej na jedzeniu i rzadko dochodzi do bliższych interakcji. Sytuacja zmienia się diametralnie późnym popołudniem, gdy najedzone dżelady szukają nocnego schronienia lub oddają się zwykłemu relaksowi. Czasami zbijają się w grupę i za pomocą odgłosów, gestów i mimiki porozumiewają się ze sobą. Owe „rozmowy” prowadzą również często do zabaw, co do kilkusekundowych wybuchów furii. Oprócz pisków, pochrząkiwań, mruceń i okrzyków gestykują kończynami przednimi, wywijają górną wargę, okazując gigantyczne dziąsła, ziewają, pokazują kły,

BODYGUARD

Każdy turysta indywidualny jest zobligowany do poruszania się na terenie parku w towarzystwie skauta (straznika).



FOT. PHOTODISC/AGENCE

KWARTET EGZOTYCZNY

Na szlaku można spotkać muzykujące dzieci etiopskich górali.

mrugają oczami, marszczą czoło i wywijają powieki. Wszystko to składa się na przekaz na tyle czytelny, że inne osobniki stada są w stanie na niego odpowiedzieć. Dżelady, tak jak większość małp społecznych, nie ukrywają swoich emocji, a ich reakcje są nierzadko dość skrajne i ludzkim okiem – nieadekwatne do problemu.

Rodziny dżelad są tworzone zazwyczaj przez jednego lub kilku dorosłych, dominujących samców i po 4–8 samic przypadających na każdego z nich. W grupach takich znajdują się oczywiście młode, a także synowie samic, którzy nie ukończyli piątego roku życia. Gdy młody samiec zaczyna interesować się samicami, jest przepędzany przez dominującego samca i łączy się z innymi, podobnymi sobie podrostkami. Gromady samotnych samców przeczesują, podobnie jak grupy rodzinne, górskie łąki w poszukiwaniu pokarmu i przy okazji w celu napotkania innych stad, z których mogliby uwieść samice. Grupy rodzinne są oparte na komforcie życia i opiece gwarantowanej przez dominującego samca, a nie – jak w przypadku pawianów – na zastraszeniu. Dlatego jeżeli samice są zadowolone z działań swojego protektora, nigdy go nie opuszczają. Jeżeli jednak na horyzoncie pojawi się atrakcyjny samiec gwarantujący więcej niż dotychczasowy mąż, to samice dość często nie mogą mu odmówić

i pojedynczo lub gromadnie przechodzą na jego stronę. Powrót jest możliwy, ale zdrajczynie poniesie karę wymierzoną przez ojca stada. Czasami grupy rodzinne mogą się łączyć w większe stada, których liczebność dochodzi nawet do 300 osobników. Tym samym tworzą się swego rodzaju wędrujące „plemiona” złożone z kilkunastu czy kilkudziesięciu rodzin.

Z KAMIENIEM W RĘKU, Z DZIECKIEM NA PŁECACH

Dżelady jako jedne z nielicznych zwierząt posługują się narzędziami. Być może nie tak wyrafinowanymi jak używane przez szympansy, które stosują np. pałeczki do wyjadania termitów z kopców, ale opanowały rewelacyjną technikę rzucania kamieniami i spuszczenia ich z uskoków czy półek skalnych. W momencie zagrożenia wszystkie osobniki zbijają się w grupę, a wolno chodzące młode w kilka sekund lądują na grzbietach matek. Małpy nerwowo szukają wolnych kamieni i rzucają je w kierunku napastnika. Jeżeli mają możliwość wdrapania się na skały, to uciekając, celowo poruszają wolne kamienie, aby te spadały na ścigające je zwierzę.

W związku z wytrzebieniem dużych drapieżników takich jak lampart, małpy nie mają zbyt wielu okazji do używania swoich zdolności. Zdarza się jednak, że od czasu do czasu napotykają na swojej drodze stada pawianów płaszczowych, z którymi co prawda nie dzielą terenów żerowania, ale mogą korzystać z tych samych miejsc noclegowych. Pawiany szukają pożywienia w dolinach i dolnych partiach stoków, z kolei dżelady – bardzo wysoko w górach, aż na granicy występowania śniegu. Późnym popołudniem pawiany przemieszczają się w górę w poszukiwaniu bezpiecznych miejsc noclegowych. Dżelady natomiast schodzą ze szczytów, gdzie nocą temperatura spada poniżej zera. Obydwa gatunki spotykają się tuż przy najlepszych miejscach noclegowych w środkowej części wzgórz i wówczas rodzi się problem. Zarówno dżelady, jak i pawiany uzurpują sobie prawo do danych miejsc i nie mają ochoty odstępować ich kuzynom. Każdy gatunek we własnym języku, za pomocą przeróżnych krzyków i pisków, próbuje przegonić rywali. Jeżeli to nie pomaga, dżelady rzucają

kamieniami. Następnie obydwie gatunki ostentacyjnie prezentują uzębienie, pozorują ataki, a dżelady dodatkowo odkrywają ogromne dziąsła, krwistoczerwone piersi i przeraźliwie wyglądające białe powieki. Dla przyglądającego się z boku człowieka wszystko to wygląda na gigantyczną bitwę, w której bierze udział nawet kilkaset osobników. Małpy nawzajem się przeganiają, miotają kamienie i wzniesają tabuny kurzu, nerwowo rwą trawę, wrzeszczą i rzucają się jedna na drugą. Takie potyczki nie niosą jednak ofiar, a jedynym ich efektem są siniaki i niewielkie rany. Zazwyczaj mniej liczna i mniej rozwrzeszczana grupa daje za wygraną i udaje się na noc w inne miejsce.

UZALEŻNIONA OD UV

Dżelada bardzo źle znosi pobyt w niewoli. Wymaga silnego nasłonecznienia, ale nie ciepła. Taki efekt jest trudno osiągnąć w ogrodach

zoologicznych, które zazwyczaj są zlokalizowane w nisko położonych miastach. Dlatego pomieszczenia, w których znajdują się małpy, są oświetlane mocnymi lampami imitującymi naturalne promieniowanie słoneczne.

Dżelady są wrażliwe także na zanieczyszczenie powietrza i zdecydowanie wolą oddychać tym chłodnym, górskim, z mniejszą ilością tlenu niż miejskim smogiem. Również ich żywienie sprawia wiele niedogodności ogrodom zoologicznym. Wysokogórskie gatunki roślin zawierają cały wachlarz niezbędnych dla dżelad substancji nazywanych zwyczajowo witaminami. Co jest witaminą dla człowieka, niekoniecznie musi nią być dla innego gatunku i odwrotnie. Dość trudno jest zatem zabezpieczyć małpy w odpowiednią ilość traw i ich nasion, kłaczy i ziół, które będą się charakteryzować wartością podobną do tych rosnących w górach Semien. Dlatego najlepiej, by małpy zostały w swoim naturalnym środowisku. ○



Radosław Kożuszek

Wykładowca akademicki. Prowadzi programy podróżnicze i kulinarne w Polskim Radiu PiK oraz Radiu Emaus. Autor licznych artykułów i przewodników turystycznych.

W BAZIE DEBARK

Idealną bazą wypadową w góry Semien jest miasto Debark. Znajdują się tu: targ, hotele, restauracje oraz przystanek autobusowy.



FOT. RADOSŁAW KOŻUSZEK



NAD NARWIA

FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

Wąska droga wśród pól ciągnie się w kierunku zabudowań. Po kilkuset metrach zaczyna się niewielkie Waniewo. To tutaj można rozpocząć przygodę z poznawaniem piękna Narwi. Od linii rzeki rządzi natura i widać, że człowiek mało ma tu do powiedzenia.

Narew, choć źródła ma na Białorusi, w większości płynie przez polską ziemię. Tuż za granicą jej spiętrzone wody tworzą Jezioro Siemianowskie, a później wije się wśród podlaskiej ziemi, w niezwyklej sieci łączących się co jakiś czas mniejszych lub większych koryt. Na odcinku od Waniewa na wschód jej odkrywanie to świetna gra terenowa, ale w związku z tym, że Narew tworzy całą masę bagien i torfowisk, podróż wzdłuż jej brzegu jest utrudniona. Miłośnicy etnografii i pejzażu kulturowego poczują się w nadnarwiańskich wioskach jak w raju. Znajdą tu płynne połączenie wielu religii i czas, który jakby zatrzymał się w miejscu.

Wróćmy do Waniewa. Można tutaj poznać przekazywaną od pokoleń wiedzę, która pomogła ludziom wybudować swoje gospodarstwa w ten sposób, że woda nie zalewa ich domostw każdej wiosny. Sama wioska jest sympatyczna i bardzo

spokojna. Bez problemu odnajdziemy dojazd do rzeki. Z drogi łatwo zauważyć wieżę widokową, z której można podziwiać falujące na wietrze trzciny i tataraki. Tuż obok wieży swój początek bierze kładka wśród bagien, pomocna do oglądania cudów przyrody z bliska. Jej część znajduje się po stronie Waniewa, a żeby przeprowić się na drugą stronę rzeki, trzeba skorzystać z ręcznej tratwy, którą należy przeciągnąć przez wodę. Ciekawostką jest, że ten miniprom ręczny z kładką wśród bagien jest jedną z niewielu przepraw przez Narew w tym rejonie. Najbliższe mosty na rzece znajdziemy dopiero w Bokinach albo w Żółtkach. Co jednak z owianym legendami mostem w Kruszewie?

Jedźmy dalej, do położonego nieopodal Kurowa. Jest tutaj muzeum przyrodnicze, które jeszcze lepiej pozwoli poznać naturalne walory Narwiańskiego Parku Narodowego. Muzeum mieści się w starym dworku otoczonym parkiem,

w którym zadbano o kilka ciekawych stanowisk, gdzie przez zabawę można nauczyć się sporo o drzewach i leśnym życiu zwierząt. Opuszczamy Kurowo i kierujemy się w stronę zerwanego mostu. Tak naprawdę jego drewniana konstrukcja kilka razy płonęła, ale historie związane z jego budową mogą mrozić krew w żyłach. Na bagnach miał się pojawić diabeł, który w zamian za duszę pierwszej osoby przechodzącej przez most zaoferował przyspieszenie budowy. Ukończono ją w 1903 r., ale sprytni budowniczowie jako pierwszego na most wpuścili ślepego konia. Klątwa, która miała ich spotkać za niedotrzymanie przysięgi, sprawiła, że most stał jedynie przez 11 lat, po czym wybuchła I wojna światowa. Kiedy odbudowano go w 1928 r. i kolejny raz w 1939 r., a świat obiegła wieść o wojnie, na mieszkańców Kruszewa padł błąd strach. Do dnia dzisiejszego mostu nie odbudowano, ale ludowe przekazy co rusz

wspominają o ludziach spotykających na bagnach tajemniczego jegomościa.

Czy to wyłącznie legenda? Niektóre fakty się zgadzają, ale prawda jest też taka, że to głównie carska fantazja kazała wybudować w tym miejscu most, który nigdy nie był bezpieczny ani stabilny. Nawet współczesne technologie nie radzą sobie z budowaniem na bagnach, więc trudno uwierzyć, że w 1900 r. można było uniknąć problemów. Dzisiaj z końca nasypu widać jedynie wijącą się rzekę, ukrytą pośród trzcinowiska. Na horyzoncie rysuje się drugi brzeg, który jest oddalony o około 350 m w linii prostej.

Po takiej dawce niezwykłych legend pora udać się do miejsca, gdzie historia pisana przez wieki przetrwała do dziś w najróżniejszych przekazach. Pierwsze wzmianki o Tykocinie pojawiły się już w 1414 r. Czytając dzieje tego miasta nad Narwią, możemy pomylić je z jakimś dużym ośrodkiem średniowiecznym. Tykocin tętnił życiem przez wieki i dopiero II wojna światowa odebrała mu sporą część kolorytu i magii. Był to przed laty jeden z większych ośrodków kultury żydowskiej. To właśnie tutaj mieściła się druga co do wielkości gmina żydowska w Polsce (pierwsza była w Krakowie). Zachował się oryginalny układ urbanistyczny miasta. Trudno uwierzyć, że wśród tych pól i nadnarwiańskich łąk ukryło się ponad sto zabytków wartych zobaczenia. Dzielą się one na majestatyczne i dobrze widoczne, jak Wielka Synagoga czy Duży Rynek, ale nie brakuje też mniejszych, ukrytych w bocznych uliczkach. Czasami jest to pomnik, czasami drewniany dom.



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

Sława Tykocina rośnie. Pierwszy raz byłem tam w 1999 r. i później na przestrzeni lat widziałem zmiany, które postępowały. Dzisiaj latem można spotkać w mieście sporo turystów z Polski i zagranicy.

W Tykocinie ponad sto zabytków, a tuż obok ponad sto bocianów, które w ponad 30 gniazdach prowadzą co roku spokojny żywot w Europejskiej Wiosce Bocianiej. To niezwykle miejsce powstało za sprawą burzy w 1992 r. Dwór w Pentowie otaczają piękne stare drzewa, które połamane szalejący wiatr. Z nieba ten raj zobaczyły bociany i postanowiły tu zamieszkać. Przy małej pomocy ludzi, którzy stworzyli im platformy pod gniazda, bociany tak upodobały sobie tę okolicę,

że z każdym rokiem przylatuje ich coraz więcej. Życie bocianich rodzin można podziwiać z ziemi albo z wieży widokowej ustawionej pośrodku placu. Najlepiej zajrzeć do Pentowa pod koniec czerwca, kiedy młode bociany wylatują z gniazd.

Miejscem idealnym do zakończenia przygody nad Narwią jest Wizna. To właśnie tutaj z mostu zobaczymy silny nurt rzeki połączony z wodami Biebrzy, który dumnie płynie w kierunku Warszawy. Po drodze z Tykocina warto zatrzymać się na chwilę w Strękowej Górze przy moście, a jeśli ktoś lubi długie spacerować, może dojechać do Gielczyna i jeśli lato jest suche, pospacerować po starorzeczach. Gdyby było mokro, idealnym rozwiązaniem będzie spojrzenie na Narew z Góry Strękowej. Gdyby tych wszystkich atrakcji było mało, to miłośnicy kinematografii polskiej, ale nie tylko, mogą się udać na pożegnanie z Narwią do Bronowa, gdzie znajduje się most, który służył jako malowniczy nadrzeczny plener w wielu filmach. ○



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi.

Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Realizuje dużo projektów wieloletnich, wraca w niektóre miejsca cyklicznie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.

KRÓLOWA ŻYJE!

Jacek Kiełpiński



FOT. JACEK KIEŁPIŃSKI



Polacy wreszcie docenili Wisłę. Takiego zainteresowania złotem drewnianych, tradycyjnych statków i łodzi rzecznych nikt się nie spodziewał. Ubiegłoroczny czterodniowy Festiwal Wisły, odbywający się we Włocławku, Ciechocinku i Toruniu, przyciągnął tłumy i wywołał wiślany entuzjazm. Ludzie najwyraźniej na to czekali. Przed nami powtórka. Cud nad Wisłą w tym roku 15 sierpnia w Toruniu.

O co chodzi z tą Wisłą? Co się stało? Przecież jeszcze niedawno uchodziła za „brudny, niebezpieczny ściek”. Tak obrzydzano ją latami, trując na potęgę.

– W 2015 r. byliśmy w Orleanie, gdzie odbywa się największa impreza rzeczna Europy, czyli Festiwal Loary – wspomina Marcin Karasiński, dyrektor Festiwalu Wisły. – Tam zobaczyliśmy, jaki rzeki mają potencjał, do jakiego stopnia mogą przyciągać. Do Orleanu, miasta średniej wielkości, przybywa podczas Festiwalu Loary około 600–700 tys. turystów. Miasto żyje tą imprezą. Dlaczego nie powtórzyć tego w Polsce? Ba, zrobić to lepiej, bo nie w jednym mieście, ale w kilku i na długim odcinku rzeki?

PRZYKŁAD PŁYNIE Z LOARY

Współczesne ożywienie rzek łączy się z reaktywowaniem tradycyjnego rzeczno-żeglarsstwa, które wraca dziś w wielkim stylu. W Polsce to oddolny ruch ludzi korzystających na co dzień z Wisły, spędzających na niej każdą wolną chwilę. Zamiast wybierać się po przygodę na koniec świata, odkryli w centrum Polski piękno, dostojność i dzikość natury. To oni jako pierwsi uwierzyli, że czysta dziś Wisła jest jak Tatry w XIX w., gdy góry te poznawali tylko nieliczni pasjonaci. Wiślaczy, jak na siebie mówią, pływają tradycyjnymi, drewnianymi, płaskodennymi skutkami, batami, galarami, dubasami, pychówkami, łodygami, lejtakami... To oni wpadli na pomysł, by uczcić 550-lecie pierwszego wolnego flisu na Wiśle, który był możliwy dzięki ustaleniom II pokoju toruńskiego z 1466 r. Udało się przekonać parlamentarzystów wszystkich opcji, została podjęta uchwała sejmowa, obchodziliśmy dzięki temu Rok Rzeki Wisły 2017. Wzdłuż całej królowej polskich rzek odbyły się setki imprez. Najczęściej lokalnych. Festiwal Wisły miał o wiele większe aspiracje.

Rad organizatorom udzielał Zbigniew Gąsowski, hydrolog mieszkający od lat 60. we Francji. Tam uznawany za ikonę żeglarsstwa rzeczno-żeglarskiego. – *Jeszcze na początku lat 90. Loara, rzeka bliźniaczo do Wisły podobna, była praktycznie martwa. Z powodu jej wyeksploatowania, wypłukania piasku aż do kamiennego dna, zrezygnowano z transportu towarowego. Nic po Loarze nie pływało, no, może poza kajakami – wspomina Gąsowski. – A dziś mamy na Loarze tysiąc płaskodennych łodzi i statków! Każda miejscowość chce mieć swój okręt flagowy. Kwitnie turystyka rzeczna.*

Przez skromność nie wspomina, że to jego zasługa. A to on otworzył Francuzom oczy na ich królewską rzekę. W 1994 r. przepłynął drewnianą łodzią z Krakowa do Orleanu nad Loarą. Ten rejs przeszedł do historii. Od niego wszystko się zaczęło.

– *Teraz czas Polakom otworzyć oczy na Wisłę. To się stanie, to się już dzieje!* – powtarza emigrant, który na początku stanu wojennego założył w Orleanie Stowarzyszenie Loara-Wisła, niosące Polsce pomoc. Zmobilizowani przez niego Francuzi z Orleanu, przez lata i za własne pieniądze, przywozili zdezelowanymi

WSZYSTKO PŁYNIE

Łodzie wikingów, galary, skutki, baty i bocznołowiec. Wszystko, co pływało niegdyś Wisłą, wraca podczas festiwalu. Na każdą jednostkę można wsiąść i nią popłynąć. Rzeka staje się dostępna ku uciesze publiczności.





FOT. JACEK KIEPIŃSKI

Z WYSPIY NA WYSPĘ

Piaszczyste łacze to ulubione miejsce postoju tradycyjnych łodzi. Uczestnicy znają specyfikę tych wysp, stworzonych z przesuwającego się rumowiska dennego, i potrafią z nich korzystać. Tu na łasze przed Ciechocinkiem.

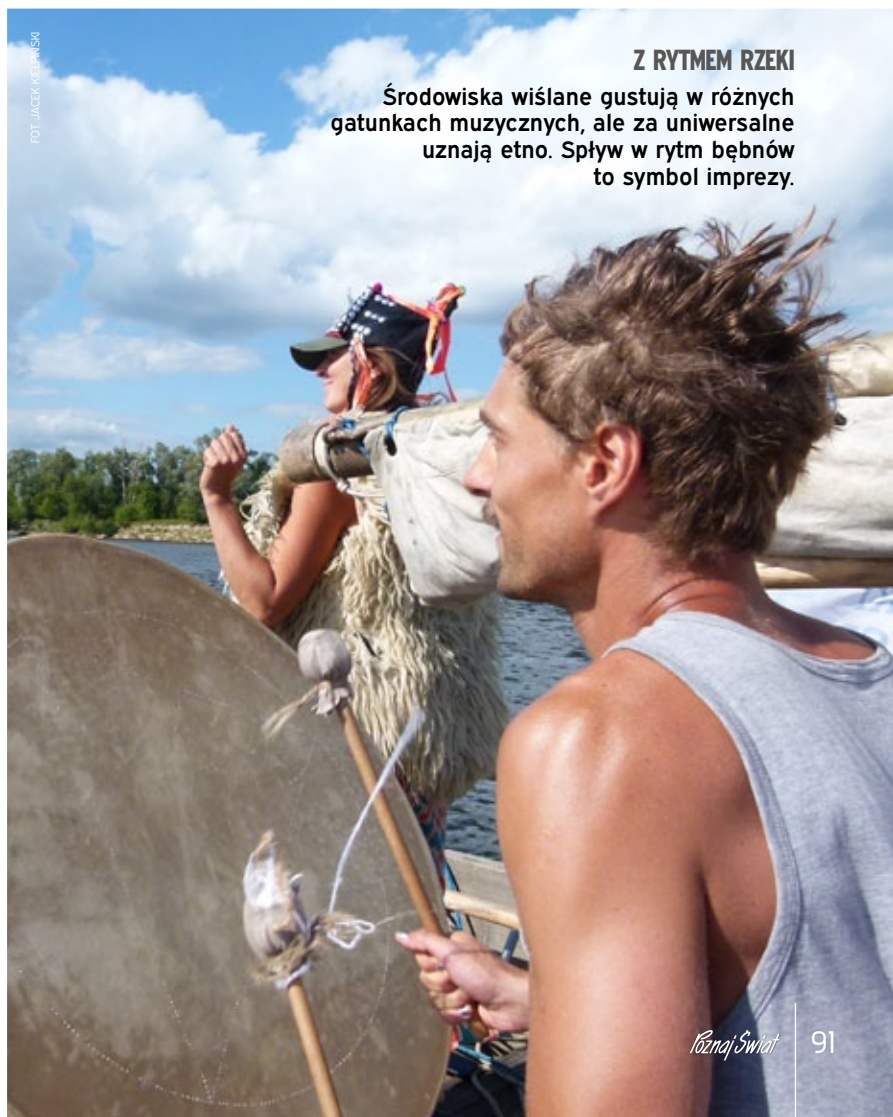
dostawczakami do polskich miast dary, w tym słynny pomarańczowy ser zwany reganem. Takiemu człowiekowi warto wierzyć.

WIKINGOWIE I FLISACY

I tylko Zbyszka Gąsowskiego podczas I edycji Festiwalu Wisły zabrakło, nie mógł przyjechać z powodów osobistych. Przybyli jednak żeglarze z Francji, w tym Bibi, czyli Jean-Marc Benoit, najsłynniejszy „pirat” Loary. Płynął do Polski miesiąc, pokonał 200 słuz.

Podczas Festiwalu Wisły nie zabrakło też polskich wikingów z Floty Jarmeryka, pod wodzą Marka Jarmeryka Szablińskiego. Obecność najszybszej dziś łodzi wikińskiej, czyli drakkara Morąg napędzanego przez 26 wiosłarzy, pozwoliła doprowadzić do ciekawej rywalizacji. We Włocławku wikingów wsparli wiosłarze Włocławskiego Towarzystwa Wiosłarskiego, a w Toruniu – utytułowani zawodnicy Akademickiego Związku Sportowego. To w Toruniu padł rekord prędkości drakkara na Wiśle – 17 km/h.

Podczas Festiwalu 3500 osób mogło wziąć udział w darmowych rejsach po Wiśle drewnianymi łodziami i statkami. Chętni ustawiali się w długich kolejkach. Wszyscy wracali na



FOT. JACEK KIEPIŃSKI

Z RYTMEM RZEKI

Środowiska wiślane gustują w różnych gatunkach muzycznych, ale za uniwersalne uznają etno. Spływ w rytm bębnow to symbol imprezy.



FOT. JACEK KIELPINSKI

WPLAW NA STARÓWKĘ

Akcja „Przeptyń Wisłę” spotkała się z ogromnym zainteresowaniem. Przeptywano rzekę na wysokości toruńskiej starówki w grupach, pod okiem ratowników.

brzeg uśmiechnięci, bo polscy flisacy to wesołe towarzystwo, chętnie dzielące się wiedzą o rzecce i tradycyjnym żeglarstwie. Najodważniejsi, ale umiejący dobrze pływać, mogli pokonać Wisłę wplaw pod okiem ratowników. Chętnych było tylu, że organizatorzy tydzień przed imprezą musieli zamknąć listę zgłoszeń. Dużym zainteresowaniem cieszył się też warsztat dłubankowy. Uczestnicy samodzielnie wykonywali czółna z pni topoli.

– *Każdy na początku miał wątpliwości, czy to coś w ogóle pływa* – przyznaje Rafał Koziółek, uczestnik warsztatów, którego dłubanka mknęła ostatecznie żwawo po Wiśle, oklaskiwana przez liczną publiczność.

SMAKI I DŹWIĘKI

Nie mogło zabraknąć flisaków na tradycyjnej tratwie. Przybyli z Ulanowa, stolicy polskiego flisactwa. Przywieźli ze sobą słynną „branżową” zupę – barszcz flisacki, gotowany w Ulanowie od wieków. Musiał konkurować z wieloma innymi specjami prezentowanymi w ramach targów kulinarnych „Nadwiślańskie smaki”. Publiczność chłonęła Wisłę także słuchem. Na festiwalowej scenie odbył się bowiem Przegląd Piosenki Żeglarskiej „Szkuła”.

Podczas czterodniowej imprezy największym powodzeniem cieszyły się parady pod żaglami, a finał przerósł oczekiwania tysięcy widzów zapełniających szelnie bulwar



Filadelfijski w Toruniu. Magiczna, nastrojowa inscenizacja na wodzie z użyciem tradycyjnych jednostek oświetlanych w niezwykle sposób i ostatecznie pokaz fajerwerków zapierający dech w piersiach. Publiczność reagowała entuzjastycznie. Z tłumu rozległy się krzyki: „Wisła żyje!”.

Szkoda, że nie widział i nie słyszał tego Zbigniew Gąsowski, który za zabezpieczenie przeciwpowodziowe Loary dostał Legię Honorową i ma także wiele rewolucyjnych pomysłów na Wisłę. Najpewniej pojawi się w tym roku. Festiwal Wisły cieszył się bowiem takim powodzeniem, że publiczność wręcz zażądała kolejnej edycji imprezy. Wisła przyciąga,

wystarczy sprawić, by coś się na niej działo. Czyżby Festiwal Wisły był zapalnikiem, na jaki czekaliśmy od lat? Rzeka ma tak wiele atrakcji, skarbów, tajemnic i zagadek do odkrycia, a jej wody są już dziś na tyle czyste, że masowy powrót Polaków nad nią staje się coraz bardziej realny. Tatry? Bałtyk? Mazury? To już było. Czas ruszać na Wisłę! ○



Jacek Kiełpiński

Dziennikarz, reporter, pisarz, podróżnik, maratończyk, kajakarz, użytkownik Wisły.

TEGOROCZNY FESTIWAL WISŁY
ODBĘDZIE SIĘ 12 SIERPNIĄ W CIECHOCINKU,
13 SIERPNIĄ W OSIEKU NAD WISŁĄ,
14 I 15 SIERPNIĄ W TORUNIU.

Aleksander Muszyński

PIĘKNIE I DZIKO

Szkockie krajobrazy to jedno z najbardziej malowniczych widoków Europy. Pogoda – bardzo zmienna, często wietrzno-deszczowa – dodaje tylko uroku pięknym surowym pejzażom. W Szkocji można spotkać wiele dziko żyjących gatunków zwierząt, takich jak: jelenie, delfiny, wieloryby, foki, orły czy maskonury. Wystarczą kilkudniowe wędrówki góorskimi szlakami, a czasami jedynie przejażdżka samochodem, by na zawsze zapisać w pamięci uroki tej krainy.

Old Man of Storr – jedna z najpopularniejszych tras trekkingowych, a zarazem najbardziej kultowych miejsc w Szkocji. Warto wejść na samą górę, aby z bliska przyjrzeć się temu masywnemu szczytowi. Poza tym widoki na wody cieśniny Sound of Raasay są naprawdę oszałamiające.



Okolice miejscowości Iverness, gdzie znajduje się skupisko parków narodowych – miejsc dość często odwiedzanych nie tylko przez zagranicznych turystów, ale również rodowitych Szkotów.



Jedną z najstarszych w świecie ras bydła jest *highland cattle*, czyli szkocka rasa wyżywna. Jej sierść może mieć różne kolory – brązowy, żółty, czarny, czerwony, a nawet biały. W odpowiedzi na surowy klimat natura wyposażyła highlandy w dwie warstwy sierści: zewnętrzną, która chroni przed wiatrem i deszczem i składa się z długich i grubych włosów, oraz wewnętrzną, spełniającą rolę grzewczą, składającą się z włosów puchowych.



Przemierzając góry czy bezdroża, bez trudu można spotkać jelenia szlachetnego. Populacja tych zwierząt jest tutaj bardzo duża i ciągle wrasta. Zdjęcie przedstawia młodego, dwu- lub trzyletniego samca napotkanego na północy, w okolicach miejscowości Durness.



Szkocja to krajobrazy poprzecinane jeziorami, rzekami i... zabytkowymi kamiennymi mostami.



Fairy Glen to teren miniaturowego osuwiska na wyspie Isle of Skye. Tutejsze kręte drogi wiją się wśród małych i okrągłych wzgórz i jezior, pomiędzy którymi tworzy się niezmiernie klimat. Ostatnimi laty turyści odwiedzający osuwisko zaczęli układać kamienie, tworząc z nich swego rodzaju spiralę, wewnątrz której zostawiali monety lub żetony jako zapłatę dla wróżek, przynoszących jakoby szczęście.



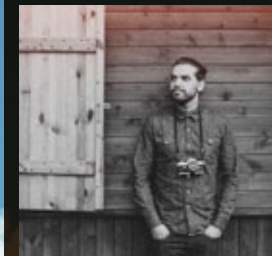
Jedną z najpiękniejszych i, o dziwo, mało odwiedzanych atrakcji północnej Szkocji są Duncansby Stacks – wystające z morza formacje skalne. Ich widok zapiera dech, a zwiedzających jak na lekarstwo! W dole, pod skałami, często wylegają się foki.



Trekking po obszarze pradawnego osuwiska Quiraing to niezapomniane doświadczenie, bez względu na pogodę. W słoneczny dzień można podziwiać Hebrydy Zewnętrzne oraz pofalowane zielone szkockie łądy, otoczone mniejszymi lub większymi szczytami.



Górskie wzniesienie, u którego podnóża przepływa kręty strumień. W takich właśnie miejscach przebywa wiele gatunków dzikiej zwierzyny.



Aleksander Muszyński

Biolog z wykształcenia. Na co dzień pracownik branży farmaceutycznej. Z zamiłowania fotograf. Czas wolny spędza w podróżach, poznając nowe miejsca, kultury i doskonaląc swoje fotograficzne umiejętności.

Urokliwe miasteczko Tobermory. Stąd odpływają łodzie zabierające turystów na kilkugodzinne wodne safari, podczas których można spotkać delfiny i wieloryby, a niekiedy nawet orki.



NAJCENNIJSZY SKARB

Bywają ogromne i budzą strach. Jedne są aktywne, inne drzemią, a niektóre dawno wygasły. Aby je zobaczyć, często jeździmy aż na krańce świata, choć występują również w naszym kraju. Na Pogórzu i w Górach Kaczawskich rozciąga się Kraina Wygasłych Wulkanów. Miejsce ciekawe nie tylko dla geologów. To świetny adres także dla wielbicieli zabytków. Na czubku niejednego stożka można się natknąć na tajemnicze stare zamczysko lub malownicze ruiny. Pomiedzy wulkanami także jest co oglądać, zwłaszcza piękne pałace.

Tym razem z żelazną konsekwencją (to troszeczkę nieprawda) uprawiam turystykę zamkowo-wulkaniczną, choć pałacowa także pociąga. Staram się jednak twardo trzymać założeń, bo inaczej stąd nie wyjadę. Zwiedzanie dolnośląskich zabytków jest jak jedna wielka wygrana. Historyczne cacka są tu na każdym kroku. Górnolotnie muszę stwierdzić, że niezwykle bogactwo dziedzictwa materialnego oraz wyjątkowe walory przyrodnicze Dolnego Śląska pozwalają zaliczyć ten obszar do najpiękniejszych krajobrazów kulturowych w kraju. Stosunkowo niewielka przestrzeń jest nasycona taką liczbą pochodzących z różnych epok zabytków o charakterze rezydencjonalnym, sakralnym, uzdrowiskowym, etnograficznym, gospodarczym, że aż kręci się w głowie. Na tym tle miejsce szczególnie zajmują założenia pałacowo-parkowe. Wiadomo, w XIX w. pruska arystokracja podchwyciła modę na Dolny Śląsk i cały region zmieniła w jeden wielki park krajobrazowy pełen pałaców. Osobiście bardzo się z tego cieszę, choć jeszcze mocniej ubolewam nad obecnym tragicznym stanem większości z nich.

Niestety, nie lepiej ma się sprawa z zamkami na dolnośląskim Szlaku Zamków Piastowskich. Liczy on blisko 150 km, w terenie jest oznaczony kolorem zielonym i miejscami wiedzie przez tajemniczą

Krainę Wygasłych Wulkanów. Zlokalizowane tutaj warownie dzięki swojej podniebnej lokalizacji mają dla turystów dodatkowy bonus – niezapomniane widoki „z lotu ptaka”, a jest na co popatrzeć. Rozległa panorama Sudetów z ich najwyższym szczytem Śnieżką, łagodnie pofalowane Pogórze Kaczawskie z trójkątnymi stożkami wygasłych wulkanów, niezwykle Park Krajobrazowy Doliny Bobru... Szlak rozpoczyna się na zamku Grodno w Zagórzu Śląskim, a kończy na zamku Grodziec niedaleko Złotorii. Ten ostatni stoi na prawie 400-metrowym nieczynnym wulkanie. Niekonsekwentnie też dodam, że pod zamkiem Grodziec znajduje się również pałac.

Przed milionami lat w tym właśnie miejscu był sam środek piekła. Potoki wrzącej lawy wypływały ze wszystkich szczelin w ziemi, a słupy popiołu wyrzucane z wulkanicznych kominów całkowicie przesłaniały niebo. Potem wszystko się uspokoiło, a dawno wygasłe wulkany zmalowały. Obecnie najwyższym stożkiem w okolicy jest Ostrzyca Proboszczowicka, nazywana też Śląską Fudzijamą ze względu na pewne podobieństwo do swojej japońskiej kuzynki. Ostrzyca, podobnie jak Fudzi, samotnie góruje nad okolicą i wprost perfekcyjnie się prezentuje. Widocznie to jakaś wulkaniczna arystokracja, bo najwyraźniej unika kontaktu

z pozostałymi trójkątnymi krewnymi. Zostawiam ją zatem w spokoju i ruszam na Grodziec. Potężna za Piastów warownia podupała w czasie wojny trzydziestoletniej i do końca XIX w. pozostawała w ruinie. Przez lata przechodziła z rąk do rąk, aż w 1899 r. kupił ją Willibald von Dirksen, niemiecki dyplomata i miłośnik sztuki średniowiecznej. To on zainicjował remont, który wykonano na podstawie projektu samego Bodo Ebhardta, niemieckiego architekta i konserwatora zabytków. Wspomnę o nim słów kilka, bo to postać nietuzinkowa.

Ebhardt słynął z wielkiego zamiłowania do zamków. Odrestaurował i odbudował wiele z nich, między innymi słynny zamek Czocha w Suchej koło Leśnej, który wszyscy pewnie kojarzą z osadzoną w realiach II wojny światowej powieścią Bogusława Wołoszańskiego „Twierdza szyfrów”. Prace na tym zamku sławny architekt prowadził zresztą w bardzo widowiskowy sposób. Dla lepszej oceny efektów sporządzał drewniane makiety naturalnej wielkości. Bodo Ebhardt był również prekursorem odnowy zabytków obronnych i rocznie potrafił odwiedzić ponad 70 zamków, aby doradzać w przebudowie wielu z nich. Przede wszystkim jednak był zwolennikiem akcji szerokiego uświadamiania opinii publicznej, w tym władz konserwatorskich, na temat

kluczowego znaczenia badań architektonicznych dla utrzymywania dawnych budowli obronnych w odpowiednim stanie. W 1905 r. przedstawił nawet nowatorski 13-punktowy program konserwacji ruin zamkowych. Po przeszło stu latach jest on wciąż aktualny. Za swoje zasługi na polu badań nad architekturą warowną otrzymał profesurę, a nawet tytuł Architekta Cesarza Niemiec i Króla Prus Wilhelma II. Nic dziwnego zatem, że to właśnie do niego zwrócił się von Dirksen.

Bodo Ebhardt pojawił się w Grodźcu w 1906 r. i zgodnie z wypracowanymi przez siebie standardami najpierw gruntownie prześledził dzieje zamku. Dopiero po przeprowadzeniu tych studiów przystąpił do prac. Ich efekty można podziwiać do dziś. Dziełem Ebhardta jest na przykład znajdujący się w tzw. międzybramiu wykusz obronny z tarczą herbową książąt legnickich. Także lapidarium ze starymi elementami wystroju zamku to jego pomysł. Po remoncie Grodziec był wizytowany przez samego cesarza Wilhelma II. Po nim zaczęły napływać tłumy. Ta okazała budowla już w tamtym czasie stała się modnym celem wycieczek i pierwszym w Europie miejscem udostępnionym do zwiedzania. Von Dirksen umiejętnie nakręcał tę koniunkturę. Do użytku turystów oddał pokoje gościnne i restaurację, a także wyposażył zamek w cenne eksponaty. Był to naprawdę imponujący zbiór, który zyskał rangę jednej z największych kolekcji sztuki gotyku i renesansu Śląska.

Ostatnim dziedzicem zamku w Grodźcu był Herbert von Dirksen, syn Willibalda i były ambasador III Rzeszy w Moskwie, Tokio, Londynie. W 1933 r. podejmował tutaj Adolfa Hitlera, choć raczej nie na zamku, tylko w położonym niżej pałacu. Kiedy pod koniec wojny zamek zajęli Sowieci, dowództwo niemieckie podjęło decyzję o ewakuacji ambasadora. Herbert von Dirksen został wyprowadzony z obłączenia tajnym podziemnym przejściem. W 1945 r. zamek spłonął. Po wojnie został częściowo odbudowany i przechodził różne koleje losu. Miał być domem ludowym, hotelem robotniczym, aż w końcu stał się siedzibą wrocławskiego Instytutu Sztuki Aktorskiej „Teatr Laboratorium” Jerzego Grotowskiego. Na krótko, ale jednak. Był także sceną wielu epizodów filmowych. Zagrał w „Wiedźminie”, serialu „Przyłbice i kaptury”, a nawet szwedzkim reality show „Riket” (Królestwo).

R E K L A M A

Oczywiście zamek ma duchy i związane z nimi legendy. Lojalnie uprzedzam, że nierzadko można tu spotkać Czerwonego Upióra, Czarną Prababkę, Zakonnice oraz Rycerza. Co ze skarbami? Część wywieźli Rosjanie, trochę rozkradli szabrownicy, resztę zabezpieczyła polska ekipa rewindykacyjna. Podobno Niemcy też coś stąd wzięli, ale gdzie leży prawda, nie wiadomo. Jedno jest pewne. Skarb z Grodźca, czyli znalezione na zamkowym wzgórzu srebrne monety, obecnie można oglądać we wrocławskim Muzeum Archeologicznym. Inna rzecz, że najcenniejszy tutejszy skarb to cała Kraina Wygasłych Wulkanów. Zastanawiam się tylko, czy wiedzą o tym ludzie, którzy dewastują okoliczny krajobraz w poszukiwaniu

występujących tu ametystów, agatów, złota... Dedykuję im zatem pewną myśl, którą Apolinary Despinoix, filozof i aforysta, wyraził słowami: „Najpiękniejszym skarbem jest rozum oprawiony w pokorę”. Na zakończenie dodam, że nie wszystko złoto, co się świeci. ◯

Anna Szczęsna

Dziennikarka, politolog, redaktor. Podyplomowo ukończyła także filologię polską i archiwistykę. Pasjonatka historii, archeologii, etnografii. Miłośniczka zabytków, literatury i sztuki. Entuzjastka spontanicznego zwiedzania. Bywa, że podróżuje z rozmysłem. Jednak najczęściej zatrzymuje się tam, gdzie coś ją akurat zachwyca.



**Audycja dla ludzi ciekawych świata.
W każdą sobotę od 9:00 do 12:00.**

ODKRYJ W SOBIE PODRÓŻNIKA

SAFE TRAVELS

Bezpiecznych podróży

POZYTYWNE NASTAWIENIE, UŚMIECH NA TWARZY, OPTYZMIZM, CHĘĆ POZNAWANIA NOWYCH MIEJSC I LUDZI TO PODSTAWA UDANEJ PODRÓŻY. ŻYCZYMY TYLKO TAKICH. TO, ŻE ZDARZY SIĘ COŚ EKSCYTUJĄCEGO I ZASKAKUJĄCEGO, CZEGO NIE DOŚWIADCZYMY W DOMU, TO CHYBA NAJPRZYJEMNIEJSZA STRONA PODRÓŻOWANIA.



Znajdą się na pewno tacy, którzy planują podróż w minimalnym stopniu i to jest dla nich w niej najbardziej ekscytujące. Dla pozostałych to, co nieznanne, bywa paraliżujące, ale chęć przygody zwycięża. Dla nich mamy kilka nowych rozwiązań od marki, która powstała z pasji dwóch studentów, a przerodziła się w biznes pomagający tym bardziej ostrożnym wyruszyć z bezpiecznego portu.

Najbardziej kłopotliwą stratą w podróży jest utrata dokumentów podróżnych. O nie szczególnie powinniśmy zadbać i zabezpieczyć je starannie. Paszport najlepiej skserować (stronę z danymi i zdjęciem), kopię zachować, a plik zapisać na wirtualnym dysku lub wysłać pocztą elektroniczną do własnej skrzynki, do której możemy mieć dostęp z każdego komputera. W przypadku utraty paszportu taka kopia ułatwi zgłoszenie straty.

Paszport zawsze miej przy sobie. Jeśli istnieje choćby cień ryzyka, że w popularnym turystycznym miejscu zdarzają się kradzieże (a przecież zdarzają się wszędzie), wykorzystaj sekretne portfele i paszportówki noszone pod bielizną. Jeśli możesz zostawić paszport w hotelowym sejfie, zrób to. Jeśli nie, wykorzystaj przenośny sejf TravelSafe, który oferuje marka Pacsafe. Ma formę worka o pojemnościach 3, 5, 12,

15 i 25 l. Zmieścą się w nim nie tylko dokumenty, ale także sprzęt elektroniczny.

ZACHOWAJ WSPOMNIENIA

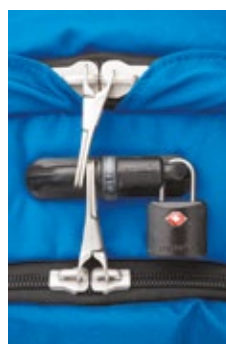
Pacsafe, projektując wszystkie swoje akcesoria, kieruje się zasadą, że najważniejsze, co powinieneś przywieźć z podróży, to dobre wspomnienia, a te często przechowujemy nie tylko w pamięci, ale także na nośnikach danych. Dlatego producent nie szczędzi na kieszonkach w torbach lub plecakach i zawsze umieszcza je w taki sposób, aby złodziej miał do nich utrudniony dostęp. Wszystkie są dodatkowo chronione na kilka sposobów przed otwarciem, np. metalowe części zamków łączą się ze sobą, aby zamki same się nie rozsuwały. Elementy te można zapiąć umieszczonym na końcu kieszeni karabińczykiem i ponadto wszystko zabezpieczyć kłódką. Jeśli więc spędzacie czas w hostelu albo hotelu, gdzie nie ma sejfów, możecie zostawić główny bagaż, zapinając go całkowicie i tworząc swego rodzaju prywatny sejf.

Dobre rozplanowanie kieszeni w plecakach Pacsafe pozwala także na następującą organizację: bagaż nosicie ze sobą, chowacie do wewnętrznych kieszeni rzeczy, których będziecie używać



WBUDOWANA STALOWA LINKA

Umożliwia przypięcie całego bagażu, gdy musimy zostawić go bez dozoru. Najczęściej w połączeniu z zamknięciem Roobar.



ZAMKNIĘCIE ROOBAR™

Umożliwia zamknięcie całego bagażu, zabezpieczenie suwaków przed otwarciem oraz przypięcie bagażu do dowolnego stałego elementu z wykorzystaniem wbudowanej w bagaż linki.

Zamki wpina się w ruchomą blokadę. Całość zabezpiecza się kłódką, co uniemożliwia otwarcie.

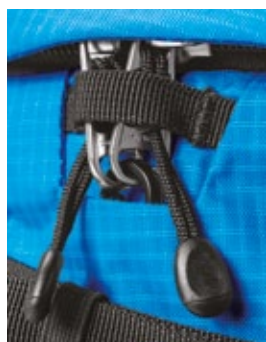


najrzadziej, i te kieszenie zapinacie, korzystając ze wspomnianych rozwiązań. W zewnętrznych kieszeniach zostają rzeczy najmniej wartościowe. Polecamy zawsze portfel i dokumenty mieć osobno przy sobie. Na wypadek kradzieży robójniczych plecak możemy oddać i liczyć na to, że złodzieje nie zwrócą już uwagi na mniejszą saszetkę noszoną pod koszulą.

Zresztą możliwość przypięcia i zabezpieczenia bagażu nie musi się sprawdzać w aż tak skrajnych przypadkach. Czasem chcecie po prostu popływać we dwoje, możecie więc przypiąć cały plecak do np. drzewa, leżaka, pomostu i cieszyć się spontanicznymi chwilami. Kolekcje Pacsafe na każdy sezon obejmują kilka linii. Jeśli tak jak założyciele firmy jesteście backpackersami, pewnie będziecie szukać czegoś dla siebie w kolekcji Venturesafe. Są w niej plecaki nawet do pojemności 65 l – nieco cięższe od specjalistycznych plecaków turystycznych, ale pamiętajmy o szeregu funkcjonalności w nich ukrytych.

Jeśli wasze podróże są typowo miejskie, polecamy kolekcję Vibe z 40-litrowym miękkim bagażem kabinowym, ogłoszonym w 2017 r. przez portal Carryology.com najlepszym bagażem kabinowym.

W tym samym stylu miejskim, z tym że dla kobiet, jest kolekcja CitySafe. To damskie plecaczkę i torebki nierzucające się w oczy,



SMART ZIPPER SECURITY

Przeszyta tasiemka przed końcem ekspresu skutecznie zniechęci każdego kieszonkowca, niezależnie czy jesteś na zatłoczonym dworcu, czy spacerujesz po promenadzie.



a oferujących także możliwość zabezpieczenia zawartości. Panowie, spokojnie, nie zapomniano o Was. Możecie także czuć się bezpiecznie z modelami z linii Metrosafe, gdzie w co niektórych zmieści się sporej wielkości laptop. Jeśli podróżujecie ze sprzętem fotograficznym, możecie mieć plecak do codziennego podróżowania, a po odpięciu tylnej części, znajdziecie miejsce na umieszczenie etui z aparatem.

NIEWAŻNE, CO MOŻNA ZABRAĆ Z BAGAŻU, WAŻNE, CO MOŻNA DO NIEGO WŁOŻYĆ

Projektanci marki zwracają uwagę nie tylko na to, że coś można ukraść z bagażu. Pomyśleli także o tym, że coś można do niego włożyć bez wiedzy właściciela. Dlatego bagaż główny (który tracimy z oczu przy odprawie) zawsze można zabezpieczyć kłódką. Jeśli nie chcemy zmieniać swojego plecaka na nowy, możemy wykorzystać siatkę na bagaż, czyli pierwszy produkt, jaki znalazł się w ofercie Pacsafe. Taką stalową siatkę zakładamy na plecak lub torbę, zamykamy kłódką i nadajemy bagaż do odprawy. Po przyjeździe zdejmujemy ją lub wykorzystujemy w hotelu do zabezpieczenia sprzętu nurkowego lub innego cennego wyposażenia.

Nie chodzi w tym wszystkim o to, aby rozsiewać wśród podróżujących atmosferę strachu. Najważniejszą ideą Pacsafe jest zachować z podróży dobre wspomnienia. Czego wszystkim życzymy.



Na urlop

Zaczął się czas urlopów. Kemping, góry, plaża, rowery, kajaki, wspinaczka – oto kilka propozycji odzieżowych i sprzętowych, które pomogą w aktywnym wypoczynku.

INNOWACYJNOŚĆ ZAMKNIĘTA W NADMUCHIWANYM KORPUSIE LAMPKI LUCI



Cena: ok. 80-180 zł
sklep.paker.pl

Lampki Luci, ładowane za pomocą wbudowanego panelu słonecznego, to podręczne światło do użycia w każdych warunkach – na biwaku i w ogrodzie w letni wieczór. Lampki świecą kilkoma żaróweczkami LED, a nadmuchiwany korpus, przezroczysty lub w mlecznym i perłowym kolorze, rozprasza światło, czyniąc je miękkim i łagodnym. Do transportu lampki składa się na płasko, co oszczędza miejsce w bagażu czy szafce. Lampki są ładowane światłem słonecznym lub sztucznym. Dwa modele z wyjściem USB dają dodatkową możliwość naładowania ich baterii z kontaktu i pozwalają na ładowanie sprzętu elektronicznego w terenie. Lampki Luci to niezawodne źródło światła w każdych warunkach. Jeden z modeli, przeznaczony dla żeglarzy i turystów, emituje sygnał SOS. migającym czerwonym światłem.

POJEMNE I NIEZAWODNE POWERBANKI LCD OD VARTA

Dostępne w trzech pojemnościach: 7800, 13000 i 18200 mAh. Wyposażono je w porty: USB 1.0 A oraz USB 2.4 A, umożliwiające ładowanie dwóch urządzeń jednocześnie. W sytuacjach awaryjnych przyda się wbudowana latarka LED. Aktualną pojemność można łatwo sprawdzić dzięki wyświetlaczowi LCD. Powerbanki naładujemy za pomocą kabla micro USB (w zestawie).



Cena: od ok. 80 zł
www.varta-consumer.pl

WYGODA I TRWAŁOŚĆ WINGS PEACOCK



Cena: ok. 200 zł
wings24.pl

Wykonana z bardzo wytrzymałego i odpornego na zarysowanie tworzywa ABS Plus. Trwały, duraluminiowy stelaż z dwupoziomą teleskopową rączką oraz bocznym uchwytem, pomocnym przy przenoszeniu bagażu. Walizka jest wyposażona w cztery obracające się o 360 stopni kauczukowe kółka, które zapewniają stabilność oraz lekkość prowadzenia w dowolnym kierunku.

DLA PROFESJONALISTÓW TRAILSHOT

Obsypany nagrodami, kompaktowy filtr do użytku w terenie. Mały, poręczny, lekki i praktyczny. Wystarczy włożyć końcówkę do wody, nacisnąć korpus i pić prosto z filtra – woda wypływa porcjami. Łatwo także napełnić litrową butelkę, zajmie to jedynie minutę. Potem zatkać wylot zatyczką, schować do kieszeni i można iść w dalszą drogę. Wkład filtrujący HollowFiber usuwa bakterie, pierwotniaki i zanieczyszczenia organiczne. Po zużyciu wkład wymienia się na nowy. Filtr jest w stanie przefiltrować do 2000 l wody. Waży 142 g i jest wielkości pięści.



Cena: ok. 280 zł
sklep.paker.pl

JAKOŚĆ I KOMFORT BRUBECK OUTDOOR WOOL SS12650



Cena: ok. 160 zł
www.brubeck.pl

Łączy wyjątkowy komfort, najszlachetniejsze surowce i sportowy styl inspirowany naturą. Dwuwarstwowa konstrukcja dzianiny oraz technologia bezszwowa zapewniają wyjątkowe właściwości termoregulacyjne. Produkt wspomaga naturalną zdolność organizmu do utrzymywania optymalnej temperatury dzięki efektywnemu transportowaniu nadmiaru wilgoci na zewnątrz oraz specjalnym strefom wentylacyjnym umieszczonym w miejscach o wzmożonej potliwości. Chłonie także wilgoć do 35% swojej wagi, co zapewnia dodatkowy komfort podczas intensywniejszej aktywności. Pozyskiwane z surowca drzewnego włókna TENCEL®, które są bardziej chłonne niż bawełna, bardziej miękkie niż jedwab i chłodniejsze niż len, wspomagają absorpcję wilgoci i nadają koszulce niespotykaną miękkość i delikatność. Skład: 32% poliamid; 27% wełna merino; 25% TENCEL®; 16% poliester.

BADŹ PEWNY PACSAFE VENTURES SAFE X40 PLUS

Idealne rozwiązanie dla osób ceniących bezpieczeństwo w podróży. To uniwersalny plecak, który świetnie sprawdzi się w zatłoczonym mieście, ale także na szlaku. Dzięki dodatkom chroniącym sprzęt fotograficzny, jak również zaawansowanym zabezpieczeniom przeciwkradzieżowym, jest to prawdopodobnie najlepszy plecak dla profesjonalistów podróżujących ze sprzętem foto-video. Poza tradycyjnym otwieraniem ma otwierane plecy. Bryzgoszczelne suwaki i pokrowiec zabezpieczają przed deszczem. Jest chroniony siatką exomeh (elastyczna stalowa siatka między dwiema warstwami materiału). Podwójny zamek Toughzip chroni przed włamaniem. Odpinane ramiączko ze stalowymi linkami umożliwia przypięcie bagażu do stałego elementu, np. barierki, za pomocą kłódki.

Cena: ok. 1000 zł
www.pacsafe.pl
www.niedajsieokrasc.pl



NA KAŻDĄ PODRÓŻ SAXX QUEST 2.0

Musi być powód, dla którego National Geographic nazwał model Quest 2.0 „najlepszą bielizną do podróżowania” oraz dlaczego jury targów ISPO wybrało je najlepszą pierwszą warstwą. Świetna dzianina szybko schnąca. Leżą doskonale dzięki specjalnemu krojowi wewnątrz. Są wykończone antybakteryjnie. Powinny być na szczycie listy rzeczy do spakowania w podróż. Skład: 77% nylon, 14% spandex, 9% poliester.

Cena: ok. 130 zł
www.saxx.pl



LIDER W SWOJEJ KLASIE TITANIUM HD 8x42 ED

Wygodna, kompaktowa lornetka o niewielkich rozmiarach i wadze z bardzo dobrymi parametrami obrazu. Doskonała dla wymagających obserwatorów do zastosowania w każdych warunkach oświetleniowych. Dzięki bardzo wysokiej rozdzielczości i wysokiemu poziomowi transmisji światła obserwator uzyskuje ostry, pełen detali obraz o żywej kolorystyce. Duże pole widzenia zapewnia komfort obserwowania niewielkich obiektów ruchomych, np. ptaków. Wytrzymała, wodoszczelna obudowa i odporność na wewnętrzne zaparowanie pozwalają na pracę w najtrudniejszych warunkach. Nowoczesny układ optyczny z obiektywami ze szkła ED i pryzmatami w układzie dachowym z dopracowaną ergonomią i oryginalnym wzornictwem sprawiają, że lornetka nie ma sobie równych w swojej klasie.

Cena: ok. 1600 zł
www.deltaoptical.pl





ALNASCA LOW GTX

Buty damskie Alnasca Low GTX to tegoroczna nowość w kolekcji firmy Mammut. Już na pierwszy rzut oka wzbudziły moje zainteresowanie i to nie tylko przez niebanalną kolorystykę. Uwagę przykuło połączenie niezwykle pożądanych cech: solidności i trwałości wykonania z lekkością. Późniejsze użytkowanie szybko potwierdziło moje wstępne oględziny.

Buty zostały wykonane z mieszanki trwałych materiałów syntetycznych oraz skóry welurowej, co podnosi ich wytrzymałość oraz ułatwia utrzymanie w czystości. Według producenta buty te mają dość wszechstronne zastosowanie. Sprawdzą się podczas wędrówek w zróżnicowanym terenie, jako buty hikingowe, a także na skalnym, tatrzańskim podłożu czy nawet na trójkowych drogach wspinaczkowych i via ferratach. Niestety, na tych ostatnich nie udało mi się jeszcze ich przetestować, ale na skalistych zboczach sprawdziły się idealnie. Mammut Alnasca Low GTX spędziły ze mną weekend w Karkonoszach podczas poszukiwań tras na zawody kolarskie. Doskonale sprawdziły się na sekcjach skalnych, mokrych korzeniach czy na stromych podejściach. Co najważniejsze, buty zdały egzamin na trasie nawet w skrajnie zmiennych warunkach pogodowych – jak to bywa w czerwcu, po upalnym przedpołudniu w połowie dnia dopadła nas burza i solidna ulewa. Wszechstronność i niezawodność tego modelu są moż-

liwe dzięki zastosowanym materiałom i rozwiązaniom technologicznym.

W pierwszej kolejności na uwagę zasługuje techniczna podeszwa Michelin® Rock Tech, charakteryzująca się bardzo dobrą przyczepnością niezależnie od warunków atmosferycznych. Komfort w użytkowaniu zapewnia wkładka MemoFoam, która dopasowuje się do kształtu stopy, wydłużony system wiązania BaseFit oraz 360 Heel Support, czyli trójwymiarowa konstrukcja trzymająca kostkę. Szczególnie ta ostatnia cecha przypadła mi do gustu, ponieważ jestem zwolenniczką używania niskiego obuwia trekkingowego w okresie letnim. Na szczęście sytuacji na sprawdzanie tego systemu nie było zbyt wiele, bo zaledwie raz noga niebezpiecznie wykręciła się z powodu niestabilnego kamienia, ale wierzę, że również następnym razem obędzie się bez kontuzji.

Bardzo zaciekawił mnie fakt, że buty po przymiarce wydawały się dość sztywne i twarde, a w trakcie wędrówki całkowicie zapomniałam o tym odczuciu i nie wróciło ani na chwilę. Z klasycznych już rozwiązań w butach treningowych i tutaj nie mogło zabraknąć: gumowego otoku – wzmocnienia z przodu buta, a także języka wszytego w cholewkę, co zapewnia nie tylko utrzymanie go w odpowiednim miejscu, ale też chroni przed wnikaniem do buta piasku, kamyków i wody. Buty mają mem-

branę GORE-TEX® Extended Comfort Footwear, która zapewnia ich wodoszczelność. Nie zawiodła mnie podczas ulewy, co sprawiło, że dalsza wędrówka była bezproblemowa i komfortowa. Miłym i przydatnym dodatkiem jest również pętka z tyłu buta ułatwiająca zakładanie, a także pozwalająca na spięcie razem butów, np. za pomocą karabinka, i przyłączenie do plecaka lub uprząży.

Po kilku dniach testowania Mammut Alnasca Low GTX zdecydowanie mogę je polecić kobietom potrzebującym lekkiego obuwia trekkingowego (360 g w rozmiarze 5.5 UK), które poradzi sobie w zróżnicowanym terenie górskim. Szczególnie spodobały się kobietom, które tak jak ja potrzebują większej swobody ruchów podczas wycieczek i preferują w okresie letnim niskie obuwie.

Test: Ewa Miedzińska

Cena: ok. 630 zł
mmtsklep.pl





MAMMUT CONVEY TOUR HS HOODED

Convey Tour HS Hooded to męska kurtka firmy Mammut stworzona dla osób ceniących lekkość i niezawodność podczas zróżnicowanych aktywności górskich. Dzięki wiatroszczelności i wodoodporności jest doskonałym zabezpieczeniem przed niekorzystnymi warunkami pogodowymi. Swoje parametry zawdzięcza membranę GORE-TEX® 2,5 layer. Producent gwarantuje jej stuprocentową skuteczność pod względem wodoszczelności przy jednoczesnym zachowaniu doskonałych właściwości odprowadzania pary wodnej na zewnątrz. Taki proces jest możliwy dzięki jej porowatej strukturze – składa się ona z 1,4 mld mikroskopijnych otworów na centymetr kwadratowy. Rozmiar porów nie jest przypadko-

wy – są one 20 tys. razy mniejsze niż kropla wody, ale 700 razy większe niż cząsteczki pary wodnej. To właśnie dzięki temu wilgoć wywołana zwiększonym wysiłkiem fizycznym jest odprowadzana na zewnątrz bez jednoczesnego przepuszczania wody do wewnątrz. W wersji 2,5 layer membrana oraz warstwa zewnętrzna są trwałe ze sobą połączone. Od wewnątrz membrana jest chroniona warstwą cienkiego karbonowego printu. Ma to na celu zminimalizowanie wagi z jednoczesnym zmaksymalizowaniem oddychalności. Ogromną zaletą kurtki jest jej niewielki rozmiar po spakowaniu.

Kurtka ma absolutnie podstawowe wyposażenie, nie zabraknie w nim jednak niczego, co potrzebne podczas zaawansowanej aktywności fizycznej. Okoliczności, w jakich miałem okazję ją testować, były dość skrajne, ale dzięki tym sprawdzianom kurtka na stałe trafiła do mojego wyjazdowego ekwipunku.

Pierwszym testem był trekking w Karikonoszach. Podczas wycieczki panowały upał i duchota, co zwiastowało zbliżającą się burzę. Nie musieliśmy długo czekać. Deszcz nie wpłynął jednak znacząco na obniżenie temperatury, przez co dalsza wędrówka była możliwa tylko w odzieży, która łączyła w sobie wodoszczelność i oddychalność. Pomimo dość szybkiego tempa marszu udało się zachować komfort, a kurtka doskonale odprowadzała nadmiar wilgoci z wewnątrz.

Za drugim razem natomiast moim przeciwnikiem w trakcie aktywności był szlak na Mont Blanc. Tym razem poza niekwestionowaną wiatroszczelnością doceniłem szereg rozwiązań zastosowanych w kurtce z myślą o wspinaczach. Convey Tour HS Hooded ma dwie wysokie i szerokie kieszenie na zamek. Ich charakterystyczne ułożenie sprawia, że nie kolidują z uprzążą pod-

czas wspinaczki. Ponadto kurtka ma kaptur kompatybilny rozmiarem i kształtem z kaskiem wspinaczkowym. Jest on na stałe połączony z kurtką, co dodatkowo minimalizuje jej wagę. Convey Tour HS Hooded już od pierwszego założenia przykuła moją uwagę prostotą, wygodą użytkowania i dopracowaniem szczegółów. Krój (regular fit) oraz rękawy z ergonomicznie wyprofilowanymi łokciami zapewniają pełną swobodę ruchów, nawet kiedy kurtka jest założona jako warstwa zewnętrzna na softshell lub polar.

Dzięki przetestowaniu kurtki w tak skrajnych warunkach przekonałem się, że jest ona doskonałym rozwiązaniem dla mężczyzn ceniących sobie niezawodność, lekkość (225 g) i kompaktowość. Dodatkowo, co ważne dla sympatyków ekologii, Convey Tour HS Hooded ma certyfikat bluesign, który potwierdza proces produkcji z zachowaniem zasad ochrony środowiska. Niewątpliwie ta lekka kurtka przyda się nie tylko w plecaku w górach, lecz warto mieć ją przy sobie także na co dzień, by nie zaskoczyła nas gwałtowna zmiana pogody.

Test: Dariusz Witoszyński

Cena: ok. 900 zł
mmtsklep.pl



We fraku w kajaku

Niegdyś na polskich plażach panowała elegancja. Kobiety znacznie więcej zastraniały, niż odkrywały, nosząc długie sukienki lub jednoczęściowe stroje – niezależnie od intensywności upałów. W końcu za nietaktowny wygląd, na przykład przesadnie odkryte ramiona czy nogi, można było spodziewać się kary, nawet w postaci aresztu. Mężczyźni również nie stronili od pełnego odzienia, odpoczywali na plaży i nawet kąpali się we frakach i garniturach. Ubrania letników nie różniły się niemal wcale od tych, które nosili na co dzień. Nie przeszkadzało to jednak w wypoczynku, tak biernym, jak i czynnym. Nad morzem chętnie uprawiano różne sporty wodne (np. wioślarstwo, żeglarstwo) i organizowano zawody pływackie. Dopiero na początku lat 70. rewolucja obyczajowa doprowadziła do gwałtownych zmian w strojach plażowiczów, które stawały się coraz bardziej skąpe.

Na zdjęciu: plaża w Gdyni-Orłowie w sezonie letnim, między 1918 a 1939 r.





FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



NEPAL – GDZIE DUSZA ŻEGNA SIĘ Z CIAŁEM



PIECHOTĄ NA CEJLON



W POSZUKIWANIU KANADYJSKICH LWÓW

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Zastępca redaktor naczelnej
Julia Michalczywska
julia.michalczywska@poznaj-swiat.pl

Sekretarz redakcji
Anna Krysztofak
redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Ryszard Badowski, Anita Demianowicz, Łukasz Długowski,
Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski,
Marcin Kołpanowicz, Sławomir Kozdraś, Marta Legieć,
Tomasz Owsiany, Anna Szczęsna, Magdalena Żelazowska

Grafika, skład i przygotowanie do druku
Maciej Jurkowski, Anisim Fomiczow

Patronaty medialne
Martyna Bulba
martyna.bulba@poznaj-swiat.pl

Korekta
Joanna Lewandowska

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
Probiec Leasing sp. z o.o. sp. k.
80-180 Gdańsk, Kowale, ul. Glazurowa 7

Koordinator do spraw wydawniczych
Beata Pernak
prenumerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
mBank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Marketing i reklama
marketing@poznaj-swiat.pl

Reklama outdooru
Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Reklama świata
Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.

Miesięcznik, który uzależnia od czytania i podróży

już od
70 lat



Mnóstwo prezentów w prenumeracie

- płacisz za 10 numerów, dostajesz **2 gratis**
- każdy numer trafi **wprost do Twojej skrzynki**
- wybierz jeden z **75 prezentów**: książki, przewodniki, gry
- **darmowa** dostawa
- prenumerata roczna **tylko 109 zł**

Prezenty zobacz tu: www.poznaj-swiat.pl/prenumerata

Jak zamówić prenumeratę? Telefonicznie: 583508464 lub przez stronę internetową www.poznaj-swiat.pl/prenumerata.

Numer konta: 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004. Przy przelewach tradycyjnych w tytule przelewu prosimy podać: imię i nazwisko + adres + okres prenumeraty.



Pozytywny Portal

www.Pomorzenie.info

Informator:
Kaszuby,
Kociewie,
Trójmiasto,
Żuławy
Świat Podróży

Polub nasz FANPAGE :

www.facebook.com/StudentTrojmiasto/

